The VALETZ

MAGAZINE

nr 3 (III) październik 1998

słowo i obraz

http://magazine.valetz.art.pl

Kiedy siadam do pisania wstępniaka, już z perspektywy osoby znającej zawartość numeru, mającej w kilku słowach odmalować wrażenia, jakie nasunęły mi się podczas jego przeglądania, i jeszcze wcześniej, kiedy numer powstawał, wydobywał się z otaczającej rzeczywistości w postaci otrzymywanych materiałów, to zawsze wtedy pojawia się we mnie nieokreślone uczucie, którego najbliższym synonimem byłoby chyba określenie "trema". Ale ów trema zabarwiona jest jeszcze czymś dodatkowym. Składnikiem, którego obecność neutralizuje ją, spycha na dalszy plan. Składnikiem, który przeciwstawia się obezwładniającej mnie tremie, stopniowo pokonuje ją - nie bez wysiłku i wyrzeczeń - aż wreszcie to on przejmuje kontrolę. Pod jego wpływem ruszam dalej, dalej i jeszcze dalej... Nie staram się go nazwać, wystarczy, że jest.

Przed Wami z kolei jest 3 numer The VALETZ Magazine. Do czego on Was popchnie, nie śmiem myśleć.

Artur Długosz

W numerze:

str. 39 : **Aleksander Jasiński i Artur Długosz** "Nietypowa robota"

str. 55: **Lajkonik** "Podwórko - zza kierownicy widziane",
Fragment reportażu z wyprawy na Alaskę

"Jedziemy tą samą drogą, co wczoraj. Do Fox mamy 120 mil, a 100 mil to 168 kilometrów. Na wszystkich przełęczach jest mgła, widoczność prawie zero. Jeżeli jednak dzisiaj mamy dotrzeć do Koła Podbiegunowego, to musimy ostro grzać. Po cichu obliczam mile i paliwo. Do Fox mamy te około 120 mil. Z Fairbanks do koła jest 365 mil, minus te 40, które jest do Fox, co nam daje około 445 mil, cholera, dużo(...)"

Ponadto:

Teksty:

str. 3 **Anna Draniewicz** "Nienawiść i przyjemność z nią związana.", z serii nowe kino francuskie
str. 11 **Magdalena Nawrocka** "Jak stare wino"
str. 18 **Enkidu** "Teksty trzy"
str. 23 **Konrad Wągrowski** Okiem fantasty
str. 25 **Lajkonik** "Podwórko - zza kierownicy widziane", fragment reportażu z wyprawy na Alaskę
str. 37 **Jerzy Sikorski** "Pytania ostateczne"
str. 45 **Olaf Pierzak** "Zlot maniaków", reportaż z IX Konwentu Komiksu w Łodzi
str. 46 **Krzyś Hrynkiewicz** "Mroczniejsze momenty dorastania" (Tygiel)

Komiksy:

str. 6 **Lane i Willis** "SuperDuperDude"
str. 12 **Adam Krupa** "Lato amazonek"
str. 21 **Piotr Olszówka** "Wiórka"
str. 29 **Jasio** "Historia ludzkości - ręka"
str. 39 **Aleksander Jasiński i Artur Długosz** "Nietypowa robota"

Opowiadania:

str. 7 **Agnieszka Kubiak** "Pamięć umarłych"
str. 18 **Magda Alina Pawlak-Mirowska** "Filiżanka herbaty"
str. 34 **Artur Długosz** "Przechodzień" cz.2
str. 42 **Artur Marach** "O pilocie, który spadł na psy"

Poezja:

str. 10 **Erin z Tharu** "Nireracht"
str. 22 **Katarzyna Ziemińska** "Wiersze"
str. 43 **Artur Długosz** "Wiersze"

Odpowiedzialność za treści prezentowane na łamach The VALETZ Magazine spoczywa na barkach ich autorów.

Następny numer już **15 listopada**, a w nim:
opowiadanie **Mrozioła "Miara cierpienia"** oraz
niekonwencjonalny komiks **"Koty"** duetu **flEa & Arti**.

2. Nienawiść i przyjemność z nią związana

Z SERII NOWE KINO FRANCUSKIE

Osiem lat temu w kinie francuskim pojawił się młody człowiek, który zdobył już światowy rozgłos, a w przyszłości być może zawojuje gnijące czeluści Hollywood :) Tym człowiekiem jest Mathieu Kassovitz, który w 1990 roku zrealizował swój pierwszy, krótkometrażowy film Fierrot Pchełka (Fierrot le pou). Film ten zdobył wiele nagród na festiwalach filmów krótkometrażowych, między innymi nagrodę Jury (Maison Laffaite 1990), Wyróżnienie Specjalne (Savigny le Temple 1991), nagrodę młodej publiczności (Brest 1991) i Grand Prix (Chamrousse 1991).

W tym ośmiominutowym, czarno-białym filmie Kassovitz zagrał główną rolę chłopaka próbującego bezskutecznie wrzucić piłkę do kosza, by zrobić wrażenie na Solange, pięknej Metysce trenującej koszykówkę. Długometrażowym debiutem Kassovitza było swoiste rozwinięcie tamtej krótkometrażówki, Metyska (Metisse) z 1993 roku. Jest to historia trójkąta uczuciowego pomiędzy metyską Lolą i dwoma starającymi się o jej względy mężczyznami, których jednakowo kocha. Jeden jest biały, drugi czarny. Mathieu gra białego Félixa, który uwielbia nocne kluby, rap i swój rower (jest jedynym kurierem w Paryżu rozwożącym przesyłki na rowerze). Jamal jest czarny, studiuje prawo, żeby sprawić przyjemność swoim rodzicom i nosi zawsze dobrze skrojone garnitury. Gra go Hubert Koundé, który pojawił się później w jednej z głównych ról w Nienawiści, najbardziej znanym filmie Kassovitza, a ostatnio w komedii Razem raźniej.

Pewnego dnia Lola zaprasza obu chłopców do siebie na kolację, żeby im oświadczyć, że jest w ciąży i nie wie, który z nich jest ojcem. Interesuję ją tylko to, który z nią zostanie. Po małej sprzeczce Félix decyduje się zapomnieć o Loli. Woli nadal spotykać się z przyjaciółmi w nocnych klubach, nocować na komisariacie i jeść babcine obiadki. Po prostu żyć. Tymczasem Jamal, z miłości do Loli, rzuca studia i zatrudnia się w fast foodzie. Lola poruszona jego determinacją proponuje mu, by się do niej przeprowadził. Po jakimś czasie przyzwyczajają się do życia we dwoje. I gdy wszystko zaczyna dobrze się układać Lola otrzymuje wyniki testów na ojcostwo...

Pomysł na ten film Mathieu zaczerpnął bezpośrednio z codziennego życia. Obserwując swoich przyjaciół i stosunki miedzy nimi dostrzegł, że tworzą kolorową mieszankę ras i problemów. Za Metyskę Kassovitz był w 1993 roku po raz pierwszy nominowany do Cezara: dla najlepszego filmu i dla nadziei francuskiego kina. Pierwszą z tych nagród dostał dopiero za Nienawiść, a drugą za rolę Johnny'ego w Patrz jak giną ludzie (Regarde les hommes tomber). Johnny to mało rozgarnięty złodziejaszek, którego bierze pod swoje skrzydła stary naciągacz i oszust karciany Marx. W rolę Marxa wspaniale wcielił się sam Jean Louis Trintignant. Przemierzając razem Francję wzdłuż i wszerz, wplątują się coraz bardziej w ciemne sprawki francuskiego świata przestępczego. Zaczynają ściągać haracz od dłużników szefa mafii, a kończą na wykonywaniu dla niego mokrej roboty. Temat agresji był zawsze tematem przewodnim filmów Kassovitza, zarówno tych, które wyreżyserował, jak i tych w których grał.

Kolejnym etapem była nagrodzona w Cannes za reżyserię Nienawiść – film który przyniósł Kassovitzowi światowy rozgłos. Miałam okazję obejrzeć ten film we Francji, zanim jeszcze pojawi się na 11-tym Warszawskim Festiwalu Filmowym, a później po roku trafił wreszcie do polskich kin. W filmie bohaterowie mówią slangiem paryskich przedmieść i trudno było czasem zrozumieć dialogi. Tego typu problemy mieli sami Francuzi, który nie stykają się z tym środowiskiem. Porównywano go do amerykańskiego back slang, języka raperów, który również jest niezrozumiały dla reszty Amerykanów. We francuskim magazynie filmowym Premiere pojawił się nawet artykuł, w którym tłumacze skarżyli się na trudności, jakie stwarzał im tekst Nienawiści, podając wiele ciekawych przykładów. Po raz pierwszy żargon ulicy pojawił się w kinach.

Nienawiść była kręcona w samym środku cité, podmiejskiej dzielnicy, podobnej do tej pokazanej w filmie. Podczas realizacji filmu oryginalny tytuł został zmieniony, by nie powodować zbędnych konfliktów z mieszkańcami i brzmiał Prawo cité. W scenariuszu nie umieszczono też sceny finałowej, mimo to w 11 z 12 wytypowanych miejsc ekipie odmówiono praw do kręcenia filmu. Pośród trzech głównych bohaterów: Vinza, Saida i Huba, którzy w filmie noszą imiona grających ich aktorów, tylko jeden nie wychował się w podmiejskim cité. To Vincent Cassel (syn innego znanego francuskiego aktora, Jean-Pierre Cassela), który pojawił się już u Kassovitza w małej rólce w Metysce. Rola Vinza w Nienawiści była początkiem jego wspaniałej kariery. Dwaj pozostali to Said Taghmaoui i wspomniany już Hubert Koundé.

Film przedstawia 24 godziny z życia przedmieścia, w którym wybuchła uliczna wojna między młodzieżą i policją. Wszystko zaczęło się od tego, że podczas przesłuchania policjant ciężko pobił młodego Abdela, który zapadł w śpiączkę. Dla młodych mieszkańców cité to znak do ataku na policjantów. Jeden z nich gubi podczas walk swój służbowy pistolet. Znajdują go trzej przyjaciele: Vinz, Said i Hub, którzy rozpoczynają wędrówkę przez miasto. Obserwując ich poznajemy życie tysiąca podobnych im młodych ludzi bez przyszłości i wiemy, że pistolet w końcu wystrzeli, zastanawiamy się tylko kiedy to nastąpi...

Po tak wspaniałym i poruszającym debiucie Kassovitz wyreżyserował i zagrał jedną z

zdjęcie z archiwum autorki

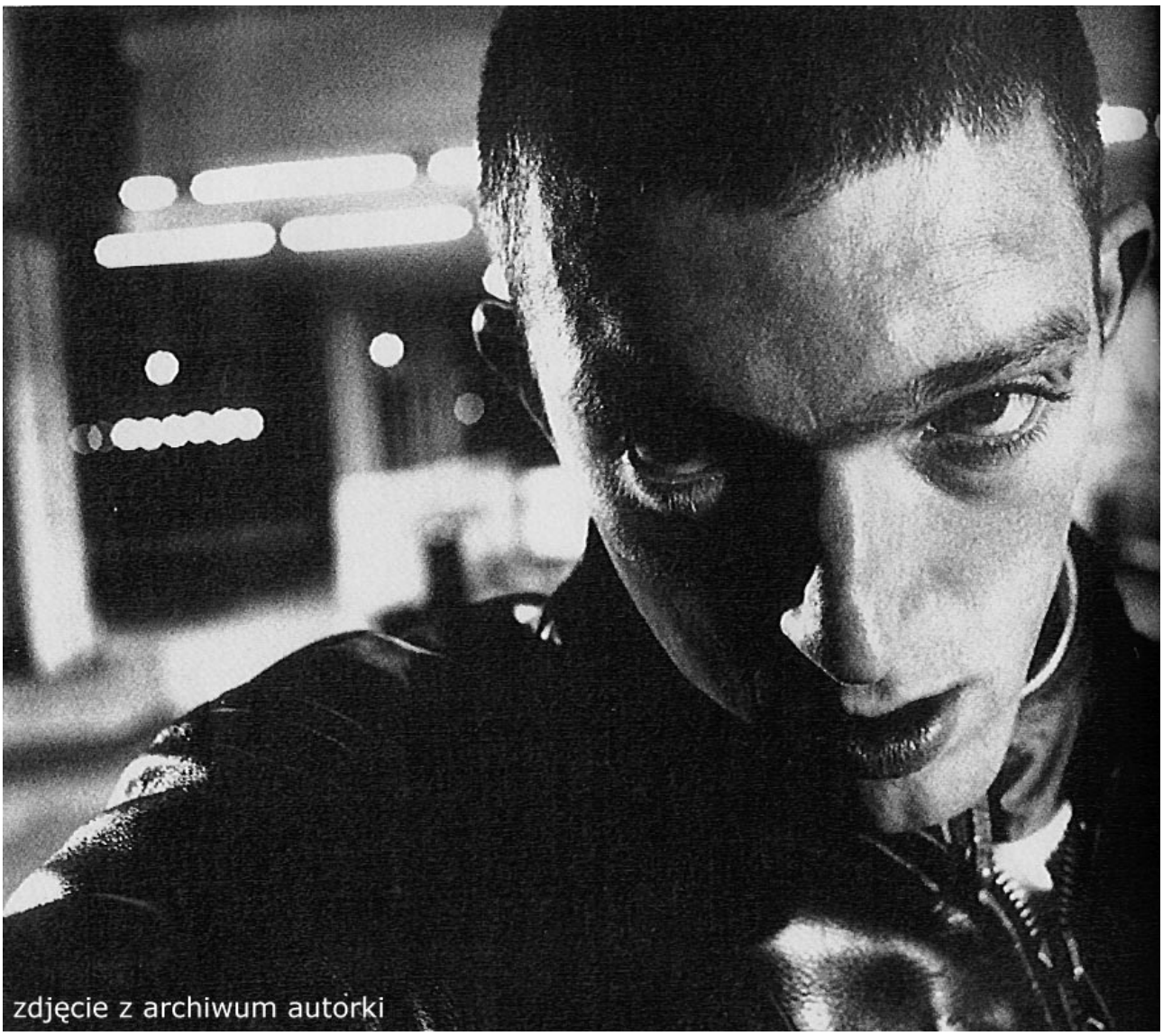
zdjęcie z archiwum autorki

głównych ról w Zabójcy (Assasin(s)) – filmie, który spotkał się ze skrajnymi reakcjami widowni. Jest to historia Wagnera, starzejącego się płatnego zabójcy, który szuka następcy. Na swego ucznia wybiera młodego złodziejaszka Maxa, którego gra Kassovitz. Jednak Max okazuje się mało pojętnym uczniem. Dopiero pozbawiony skrupułów 13-letni Mehdi zadowala mistrza, a wkrótce zaczyna go przerastać. Film pełen jest brutalnych scen, które według zamierzeń reżysera miały zwrócić uwagę widza na problem przemocy w mediach. Jednak Kassovitz wpadł w podobna pułapkę, w jaką jeszcze przed nim zaplątał się chociażby Olivier Stone kręcąc Urodzonych morderców – stworzył kolejny obraz przeciwko tworzeniu których chciał zaprotestować.

Od tamtej pory Mathieu nie zrobił żadnego nowego filmu, ale pojawił się na ekranie jako aktor. Mogliśmy go zobaczyć w małej rólce w Piątym elemencie (Le cinquieme element) Luca Bessona. Wspaniale zagrał ćpuna próbującego okraść granego przez Bruce'a Willisa taksówkarza Korbena Dallasa, gdy ten otwiera rano drzwi swej przytulnej celi, by udać się do pracy. Kolejnym filmem, w którym Mathieu pojawił się ostatnio jest Przyjemność, i przykrości z nią związane, gdzie w jednej z głównych ról występuje także jego bliski przyjaciel Vincent Cassel. Ich drogi rozeszły się na pewien czas po Nienawiści – filmie, który dla obu był jak na razie największym osiągnięciem.

W tym czasie Cassel zagrał w filmowej wersji francuskiego komiksu o Dobermanie i jego bandzie, która bezkarnie napada na banki i kpi z bezradności policji. Doberman pełen był rytmicznie montowanych, szybkich, brutalnych scen i czarnego humoru, a wszystko to na tle wprowadzającej w trans muzyki techno. Zagrał w nim również Tchéky Karyo, znany z głównej roli w Nikicie Luca Bessona, który tu wcielił się w postać demonicznego inspektora policji z piekła rodem. Doberman był według mnie jednym z ciekawszych obrazów zeszłorocznego, 13-tego już Warszawskiego Festiwalu Filmowego i z pewnością niezapomnianym przeżyciem. W tym roku na 14-tym Warszawskim Festiwalu Filmowym pojawią się tylko dwa (oprócz koprodukcji) „czysto" francuskie filmy: komedyjka Paparazzi i zapowiadający się dosyć ciekawie obraz Ci, którzy mnie kochają, wsiądą do pociągu (Ceux qui m'aiment prendront le train). Zabraknie niestety szalenie interesującego, wspomnianego już przeze mnie filmu Przyjemność, i przykrości z nią związane, w którym po raz kolejny spotkali się Mathieu Kassovitz i Vincent Cassel, tym razem obaj po tej samej stronie kamery – jako aktorzy.

Film w reżyserii Nicolasa Boukhriefa Przyjemność, i przykrości z nią związane (Le plaisir, et ses petits tracas) nawiązuje do filmu Maxa Ophülsa Przyjemność (Le plaisir) z 1951 roku. Przyjemność skom-

ponowana była z trzech historii opartych na nowelach Maupassanta. W pierwszej z nich, w Masce (Masque), pewien stary człowiek zakłada maskę, dzięki której zaspokaja wreszcie swoją żądzę. Druga z nich, Dom Tellier (La Maison Tellier), opowiada o domu schadzek. Pewnego wieczoru stali bywalcy zastają tam zamknięte drzwi. Trzecia to Modelka (Modele), o młodym malarzu, który zakochuje się w jednej ze swoich modelek. Znużony po jakimś czasie próbuje z nią zerwać, ale dziewczyna rzuca się z okna jego pracowni. W Przyjemności, i przykrościach z nią związanych natomiast reżyser użył konstrukcji łańcuchowej, łącząc jedną historyjkę z drugą postaciami niewiernych kochanków. Przypomina to trochę utwór muzyczny, w którym tempo powoli narasta poprzez pojawiające się kolejno nowe motywy i instrumenty. Nasuwa to skojarzenie chociażby z Bolerem Ravela czy Dzwonami rurowymi Mike'a Oldfielda.

Pierwszą postacią jako widzimy jest dusiciel (Vincent Cassel), który będzie się pojawiał co jakiś czas powodując przyśpieszenie tempa filmu. Potem poznajemy rannego żołnierza, którym opiekuje się pielęgniarka o wielkim sercu (Julie Gayet). Śledząc dalej jej losy dowiadujemy się, że jej narzeczony (Mathieu Kassovitz) jest komikiem, pracującym w nocnym klubie. Kiedy pewnego wieczoru wraca z pracy ratuje niedoszłą samobójczynię w wieku przekwitania (Caroline Cellier) i proponuje jej wspólny wieczór. Wtedy znowu na chwilę pojawia się nasz dusiciel. Później poznajemy męża tej kobiety, który jest biseksualistą (Michele Placido) i próbuje uwieść młodego Włocha-niemowę. W końcu znajduje sobie młodego kochanka (Francis Renaud), brata aktorki filmów porno (Florence Thomassin), którą interesuje się nasz dusiciel. I znów wracamy do punktu wyjścia, tylko tym razem bogatsi w wiedzę o tym, że przyjemność miłości nie trwa dłużej niż chwilę.

Film pokazuje przyjemność i pożądanie w krzywym zwierciadle – gorzkie i cierpkie odbicie naszych obyczajów miłosnych. Przedstawia nam stereotypy ludzi, w których każdy może odnaleźć coś z siebie samego lub swoich znajomych. Dla mnie był to także film o groźbie AIDS, o tym że nic się nie zmieniło i nadal przedkładamy przyjemność nad rozum i uczucie. Dusiciel, który zabija nierozsądnych kochanków, jest jak śmiertelny wirus – każdy może na niego trafić. Można ten film nazwać niemal symbolicznym, gdyż nie fabuła jest tu najważniejsza, ale to co się pod nią kryje. Miejmy nadzieje, że za parę lat dotrze on do Polski i pojawi się na ekranach kin lub przynajmniej na szklanym ekranie telewizora. Obawiam się, że na razie jest jeszcze zbyt odważny, o czym świadczy dla mnie fakt pominięcia go na tegorocznym Warszawskim Festiwalu Filmowym. Być może jednak było to spowodowane jego niedawną premierą we Francji i pojawi się dopiero za rok, czego zarówno sobie jak i wam życzę :)

A już za miesiąc przyjrzymy się filmom wspomnianego tu Luca Bessona i dalszym losom aktorów, którzy w nich grali. Następny odcinek Nowego Kina Francuskiego pod tytułem Wielki Besson w następnym numerze The Valetz Magazine :)

Filmografia:

1.Przyjemność (Le Plaisir) '51; reż. Max Ophüls, wyst. Claude Dauphin, Gaby Morlay, Madaline Renaud, Danielle Darrieux, Pierre Brasseur, Jean Gabin; czarno-biały (95 min.)

2.Fierrot Pchełka (Fierrot le pou) '90; reż Mathieu Kassovitz, wyst. Solange Labonne , Alain Brena Labinski, Mathieu Kassovitz; czarno-biały (8 min.)

3.Metyska (Metisse) '93; scen. i reż. Mathieu Kassovitz, wyst. Julie Mauduech, Hubert Koundé, Mathieu Kassovitz; premiera we Francji: VII.93r. (95 min.)

4.Patrz jak giną ludzie (Regarde les hommes tomber) '93; reż Jacques Audiard, wyst. Jean-Louis Trintignant, Mathieu Kassovitz, Jean Yanne (100 min.)

5.Nienawiść (La haine) '95; scen. i reż Mathieu Kassovitz, wyst. Vincent Cassel, Hubert Koundé, Said Taghmaoui (95 min.)

6.Zabójca (Assasin(s)) '96; reż. Mathieu Kassovitz, wyst. Michel Serrault, Mathieu Kassovitz, Mehdi Venoufa (134 min.)

7.Piąty element (Le cinquieme element) '97; scen. i reż. Luc Besson, wyst. Bruce Willis, Gary Oldman, Ian Holm, Milla Yovovich, Mathieu Kassovitz (126 min.)

8.Doberman (Le Doberman) '97; reż. Jan Kounen, wyst. Vincent Cassel, Monica Bellucci, Tchéky Karyo (103 min.)

9.Przyjemność, i przykrości z nią związane (Le plaisir, et ses petits tracas) '98; reż Nicolas Boukhrief, wyst. Vicent Cassel, Julie Gayet, Mathieu Kassovitz, Michele Placido; premiera we Francji: 5.VIII.98r. (101 min.)

10.Razem raźniej(Restons groupés) '98; reż. Jean-Paul Salomé, wyst. Emma de Caunes, Judith Henry, Hubert Koundé; premiera we Francji: 2.IX.98r.

Anna Draniewidz

(*annad9@valetz.art.pl*)

SuperDuperDude

Philip C. Lane i Michael K. Willis (plane77@aol.com)

W tym numerze The VALETZ Magazine prezentujemy jedną stronę komiksu zza Atlantyku, w oryginale przygotowywanego, jako paski. W następnych numerach kontynuacja. Jego autorami są Michael K. Willis (teksty) oraz Philip Lane (rysunki). Już wkrótce nieco więcej informacji na temat ich twórczości i ich samych.

Przetłumaczył flEa

PAMIĘĆ UMARŁYCH

Krwawa łuna unosiła się nad wzgórzami. Panowała idealna, niczym niezmącona cisza i wszystko wydawało się być zastygłe na zawsze w tym bezruchu, zanurzone w purpurowej poświacie. On także przez chwilę zdawał jarzyć się czerwienią-jeździec, którego obecność nie zakłócała jednak panującego wokół spokoju. Słońce błysnęło ostatni raz i znikło pozostawiając mgiełkę koloru ognia. Jego gasnące promienie jeszcze tylko musnęły samotną, znieruchomiałą postać ożywiając barwami wieczorny krajobraz.

W szybko zapadającym zmierzchu jeździec lśnił jasno i wydawał się stanowić jedność nie tylko ze swoim wierzchowcem, ale i z otaczającym go światem.

. . . . .

Kopyta białego konia o oczach pełnych dzikości prawie nie zostawiały śladów na mokrym piasku. Jeździec wbił chmurny wzrok w horyzont. Jego biały płaszcz unosił się za nim i łopotał szarpany przez wiatr. Białe włosy spadły mu na czoło, więc roztargnionym ruchem odgarnął je z oczu, które były jeszcze dziksze i bardziej szalone niż oczy jego wierzchowca. Wsłuchany w szum morza, dumał.

Jego najdawniejszym wspomnieniem była biel lodowego zamczyska. Nie pamiętał o nim nic poza tym, że tam się wszystko zaczęło wśród oślepiającej jasności uwięzionych w lodowych ścianach promieni słonecznych. Tam obudził się pewnego dnia-obudził się takim, jakim był teraz w swej starożytnej, białej zbroi rzeźbionej w zawiły wzór i w swym śnieżnym płaszczu. Obok stał biały rumak, a u jego wezgłowia wbity był w lodową posadzkę zamczyska cud-miecz kuty w lodzie.

Pamiętał, jak wstał i ujął miecz. Lekkie drżenie przebiegło go całego-ten miecz był żywy. Czuł uwięzione w nim tętniące życie. W podziwie uniósł oręż nad głowę. Tysiące błysków jego klingi na zawsze zapadło mu w duszę.

Dotknął lodowato zimnej rękojeści i poczuł się prawie szczęśliwy.

Tak...Miecz był istnym cudem. Nigdy nie istniał i nie będzie istniał oręż cudniejszy od tego. Był arcydziełem... lecz czyim, tego nie wiedział. Nie wiedział też, jak długo wtedy stał... Mogły minąć nawet lata, zanim otrząsnął się z oczarowania. Dosiadł rumaka i odtąd trwa jego wieczna wędrówka.

Mijał już skute lodem przestrzenie podobne do tych, które go zrodziły, błądził przez puszcze, odwiedzał krainy, miasta, wsie, przemierzał morza, równiny, góry i ciągnące się w nieskończoność pustkowia, których nie tknęła ludzka stopa. Szukał odpowiedzi. Szukał jej tym bardziej, im więcej zobaczył.

Zacisnął usta i spiął konia. Chciał przed wieczorem dotrzeć do niedalekiego miasta. Czuł, że to czego szukał, powoli zbliża się.

. . . . .

Obserwowała promienie słońca tańczące na jej dłoniach. Nie wiedziała, co to czas - dla niej były to tylko wschody

ilustracja autorki

i zachody słońca w otaczającej ją ciszy umarłego miasta. Pamiętała... Pamiętała wszystko to, co zostało skończone, to, o czym nikt już nie wiedział, to, co dawno zostało zapomniane, co nikogo nie obchodziło - była bowiem pamięcią umarłych. Znała powikłane ścieżki tych, którzy błądzili po świecie nie znając swego celu - była bowiem przeznaczeniem poszukujących. Była przeznaczeniem wygnańców takich, jak ona, przeznaczeniem, które się wypełniło. Przez chwilę chciała wiedzieć -dlaczego? On tu niedługo przybędzie...Ktoś musi pamiętać.

. . . .

Zmierzchało. Śpiew podpitych marynarzy mieszał się z szumem morza i krzykiem mew. Gospodarz popatrzył na niego w osłupieniu.

- Niech sobie patrzy - pomyślał i jego twarz wykrzywił grymas uśmiechu.

Pulchny, mały człowieczek oblizał nerwowo wargi, pewnie nigdy nie widział kogoś takiego, jak on. Przez chwilę rozbiegany wzrok gospodarza zatrzymał się na niepasującej do reszty postaci ozdobie; zawieszonym na szyi czerwonym koraliku. Wtedy wiedział już i przerażony prosił o przebaczenie oferując najlepsze pokoje.

. . . . .

Ludzie w gospodzie przyglądali mu się uważnie. Robili wszystko, by to tak nie wyglądało, ale nawet, gdy wbijał wzrok w stół, to wiedział, że się na niego patrzą. Zawsze tak było.

Kilka osób w kącie - podpici cudzoziemcy - dziwili się jego błękitnawej skórze, zimnej, jak lody wśród których się narodził, i bieli dominującej w jego postaci. Zaczęli się śmiać. Inni jednak wiedzieli. Zaraz tamtym powiedzą. Na pewno. Powiedzą, że jest Lodowym Rycerzem, że jest jedynym żywym bohaterem ostatnich dwudziestu wojen, że jest wiecznym wojownikiem, wygnańcem, że jest... Nie wiedział już nawet, co znów dopiszą do jego historii, która od dawna była już raczej legendą, zawsze ubarwiali ją tak, że mógłby nawet nie poznać, iż jest to opowieść o nim.

Nienawidził wspomnień, które wiązały się z tym, co czyniło go bohaterem. Dlatego omijał zazwyczaj ludzkie osady i przemierzał dzikie przestrzenie, gdzie był sam, wolny od wszystkiego, z wyjątkiem wspomnień. Zacisnął dłoń na koraliku. Wspomnienia...

Wielkie, otwarte szeroko oczy wpatrujące się w niego z podziwem - ona też uważała go za bohatera. Dała mu koralik. To amulet, powiedziała.

Pochłonęła ją wojna... Nikt już nie pamięta.

Koralik był czerwony... Czerwień, purpura, karmin... Niegdyś żyzne pola pokryte teraz mogilnymi kopcami. Brzydził się tej krwi, która znaczyła niegdyś jego szlak. Tak... Były idee, byli też władcy, którym ślubował, ale w niczym nie potrafił znaleźć usprawiedliwienia dla tego, że wtedy zabijał. Jego miecz - lodowy cud - zbrukany śmiercią i gorącą krwią, i te oczy, oczy tych wszystkich, którzy zginęli z jego ręki.

. . . . .

Była przeznaczeniem poszukujących i pamięcią umarłych. Pamiętała...

. . . . .

Znów obudził się w nocy, przerażony tym koszmarem prześladującym go od lat nawet na jawie, serce waliło mu szaleńczo w lodowej piersi. Zaczął się śmiać dziko, rozpaczliwie, a ludzie, którzy słyszeli to przez sen, drżeli.

Odjechał.

. . . . .

Las przywłaszczył sobie to miasto już dawno temu. Już od wieków natura kształtowała jego nowe oblicze, popadłego całkowicie w ruinę, wrośnięte w tę puszczę. Nad drzewami wznosił się symbol dawnej świetności tego niegdyś najpiękniejszego miasta - strzelista wieża katedry, która wyglądała prawie tak, jak wtedy-zachwycająco. Tam właśnie zmierzał. Nie rozglądał się wokół siebie, bo nie interesowało go oblicze zrujnowanego miasta. Katedra była jego celem, którego szukał od tak dawna.

Patrzył tylko na nią.

Rosła naprzeciw niego coraz wyżej, przygniatając go swym ogromem i pięknem, które nie uległo zniszczeniu pomimo upływu czasu. Kiedyś górowała nad miastem, teraz nad puszczą - to się nie zmieniło, lecz nie było już tysięcy pielgrzymów, którzy przybywali tylko po to, by ją ujrzeć. Mimo swego ogromu, wydawała się być niezwykle delikatna. Strzeliste wieże, lekkie łuki, potężne kamienie rzeźbione w najpiękniejsze kształty...

Z bliska zobaczył, że jednak i ona nie potrafiła oprzeć się nieubłaganemu czasowi i naturze. Miejscami nie było już murów, jednak misterna konstrukcja, dzieło najwybitniejszych umysłów tamtych czasów, podtrzymywała niezwykłej piękności sklepienia. Wszędzie wdarł się mech, a gęste bluszcze oplotły potężne kolumny. Katedra jaśniała w słońcu, którego promienie przedzierały się przez drzewa, a rzeźbione potwory, zdobiące jej ściany i portale zdawały się szykować do skoku.

Zsiadł z konia i padł na twarz z zaciśniętymi mocno oczami. Oto dotarł do kresu swej wiecznej wędrówki. Odnajdzie odpowiedź, odnajdzie spokój, którego nigdy nie zaznał... Podniósł wzrok, gdy usłyszał ciche kroki. W olbrzymich wrotach stała dziewczyna odziana w czerń, miała zamknięte oczy, gdy do niego podeszła.

- Witaj Synu Lodów...- jej głos rozniósł się echem wśród ruin - Ja, Dziecię Burzy jestem tą, której szukasz, tą, która da ci odpowiedź.

Otworzyła oczy i przyglądała mu się przez chwilę, jakby

przenikając spojrzeniem jego duszę.

- Szukasz spokoju, szukasz ukojenia...- zanuciła.

- Możesz mi rzec, o Dziecię, jak?! Jak to się może stać?! - głos drżał mu.

-Synu Lodów, chodź! - wyciągnęła ku niemu rękę-Nazywam się Ananke, Ta, Która Wie. Jestem twoim przeznaczeniem.

Wewnątrz panował chłód. Patrzył na Ananke i czekał.

- Synu Lodów, ty szukasz śmierci...- zaczęła śpiewnie.

- Tak... Tego właśnie chcę, ukojenia...- wyszeptał przez zaciśnięte zęby.- Ale nigdy dotychczas... Ja nie wiem... Mnie nie można zabić. Śmierć nie ma do mnie dostępu.

ilustracja autorki

Spojrzała na niego uważnie.-Śmierć dosięgnie każdego. Ty także należysz do Niej.

- Tak, ty także - powtórzyła widząc jego pytające spojrzenie. - Daj mi swą broń.

Ananke z dłońmi opartymi na lodowym mieczu spoczywającym jej na kolanach dumała przez chwilę.

- Widzisz, Synu Lodów, ten miecz jest potężny. Jest żywy. Czułeś to. On żyje twoim życiem, ty żyjesz nim. Jego unicestwienie będzie twoją śmiercią.

Podniosła wzrok znad miecza.

- Przecież on nie może zostać zniszczony... - wyszeptał w przerażeniu.

- W swoim sercu znajdziesz odpowiedź... - Ananke wstała- Zostań tu.

Gdy uniósł głowę, nie było jej. Zadrżał. Znał odpowiedź. Znał ją od dawna, ale nie wierzył, nie chciał wierzyć. Dlatego ciągle szukał... Wieczna wędrówka dobiegła kresu, jej cel był tak oczywisty, odpowiedź tak prosta. Poszukiwanie, nadzieja były ważniejsze. Znał odpowiedź.

Ujął miecz i uniósł go nad głowę tak, jak wtedy. Znów tysiące błysków ozwało się w jego klindze, lecz teraz tylko chwilę trwał ten bezruch. Z całych sił pchnął lodowy miecz w swe serce bijące pod starożytnym pancerzem w lodowej piersi. Czuł pochłaniającą jego ciało gorączkę, miecz topił się w jego rękach.

Wspomnienia opuszczały go, gdy osunął się na kolana. Zacisnął drżącą dłoń na czerwonym koraliku. Poszukiwanie, nadzieja były ważniejsze... Te oczy... Sen.

. . . . .

Gdy zgasły ostatnie promienie słońca igrając blaskiem na ruinach najwspanialszej z katedr-ostatniej ze świątyń, nad zdziczałym miastem rozległ się śpiew wibrujący dzikością i szaleństwem. To ostatni hymn z prastarego miasta. Nikt nie słyszał go od wieków i nikt go już nie usłyszy. To był hymn ku czci tych, którzy odeszli. Ostatnie z Dzieci Burzy śpiewało wybijając dziwny rytm w rytualnym tańcu. Na szyi Ananke wisiał koralik, który znalazła na popękanej posadzce katedry. Tańczył wraz z nią szaleńczy rytm migocząc błękitem na jej czarnej szacie. Bowiem koralik był błękitny.

Agnieszka Kubiak

(*AKUBA@omk.il.pw.edu.pl*)

N i r e r a h t

rozrąbane krzesło
na stole odłamki strzaskanej w dłoni szklanki
kilka kropel mleka w zmiażdżonym talerzu
tamże - owsiane płatki

a za oknem

tęsknica wiatr woła
na parapecie gołąb suszy pióra
to ja - to nie ja

przecież mogło się zdarzyć inaczej
wtedy jednak nie byłoby kartofli na obiad
nie jestem głodny, nie szkodzi
zjem, być może pójdę na spacer

niech nikt nie pyta dlaczego
rozczarowanie?
raczej tak, raczej nie
istotne jest to co umyka słowom

niech nie wiem
co mogło być dalej?
ostatni i pierwszy wstaję z krzesła
po bezwstydnie rozsunięte zasłony
znienacka ktoś gasi światło
spodziewałem się tego
lecz nie tak
tym razem również
nie zasnę
choć
pójdę spać

pozostanę za oknem
z niewłaściwej strony
na parapecie gołąb
to ja - to nie ja

Foto: Maciej Sosnowski

biegnąc zobaczyłem drzwi prowadzące na zawsze zacienioną stronę podwórza

uśmiech wschodzi jak słońce nad pobojowiskiem
i miłosiernie wypala bolące rany
zabijając co powoli umierało

"nazajutrz!"
ktoś głośno woła
pluję krwią
aha, to ja
to ja wołam

zataczam się i chcę tańczyć
dziki taniec wolności
i życia

nieprzytomnie upadnę
zachłysnę się śmiechem
zakrztuszę krwotokiem

chodźmy żyć póki trwa dzisiaj
armia upiorów powstaje z martwych
idziemy, a horyzont się cofa

ale nie,
sam idę

nad pobojowiskiem wschodzi uśmiech
zabija co powoli umierało

to nie sen, to nie życie,
to ja

biegnąc .... .
....

Erin z Tharu

(*tg257@students.mimuw.edu.pl*)

JAK STARE WINO

"*Na dobrym winie nie ma etykietki*"
- przysłowie francuskie

Zdziwiłam się wielce, gdy na przyjęciu w eleganckim, francuskim domu, z arystokratycznymi tradycjami podano do wystawnej kolacji wino w karafkach, a nie, jak się spodziewałam, w oryginalnych, omszałych butelkach. Na butelce jest etykietka: nazwa winnicy, rocznik, składniki. Wszystko wyszczególnione - jakby wizytówka trunku. Walory wybite tłustym drukiem, krzyczące kolory, przekonywujące ryciny – grafika tiptop. Już przed degustacją wiemy, co będziemy pili. Jest etykietka, wszystko jasne.

Dobre wino nie potrzebuje etykietki, właśnie wtedy przypomniano mi to stare francuskie przysłowie. Napełniony winem kielich przyciąga bukietem aromatu, intryguje niepowtarzalnością koloru, kusi i zapowiada rozkosz podniebienia, obiecując moc niespotykaną, prawdziwą. Wystarczy wino powąchać, przyjrzeć mu się pod światło, skosztować delikatnie małymi łyczkami, by uznać jego niezaprzeczalną doskonałość. Dobre wino mówi samo za siebie.

Wino jest gadatliwe i po wielu latach wreszcie wyzwolone, szuka w nas słuchacza, kompana. Opowiada nam swą historię, historię barwną i długą. Wspomina lazur nieba, prażenie radosnego słońca, dziki zapach drewnianej beczki i przytulny półmrok piwnicy. Dla prawdziwego konesera smak i aromat trunku to coś więcej niż zmysłowe wrażenia. To wzajemne poznanie się, zasłuchanie się w opowiadaną historię, zaduma i zbliżenie.

Ludzie unikają wzajemnego poznawania się, nie lubią zbytnich zbliżeń. Jeden drugiego ocenia z marszu i na oko. Nic więc dziwnego, że wciąż potrzebne są ludziom etykietki. Przyklejane są one gorliwie na prawo i lewo, jak leci. Nie ważne co w środku, nie ważne dlaczego, kogo obchodzi czyjaś tam historia. Papiurek, stempelek, szufladka, równy rządek. Skąd to się wzięło, co nam to przypomina?

Przecież to nasz niedawno pogrzebany, nieodżałowany system kryształowej prawości i obowiązującej jednomyślności wprost uwielbiał naklejać swym kukiełkom gotowe i sztywne etykietki. Etykietki czołobitne, znaczące, wartościujące: panie docencie, panie naczelniku, panie prezesie, panie profesorze, panie sekretarzu i jeszcze pani magister farmaceutce, pamiętacie?

Funkcja czy tytuł - wypunktowane, zaznaczone, wybite. Jak wizytówka albo afisz. I znów nie ważne, co pod spodem, jaki właściwie człowiek za wymienionym tytułem się kryje, co sobą reprezentuje, czy jest cokolwiek wart? Czy przyszpilona etykietka może gwarantować prawdziwość i jakość? Czy sztywny schemat, pospieszne uogólnienie i gra pozorów mogą zastąpić bogactwo ludzkiego zrozumienia i dogłębnego poznania? Zupełnie inaczej niż z tym dobrym winem. Stare, mocne wino, a takie cierpkie skojarzenia. Czyż nie prawdę mówi aforyzm: "Myśl ludzka jest jak mucha, siada na wszystkim"? Wypijmy więc za świat bez etykietek... a może też i za skojarzenia?;-)

Magdalena Nawrocka

(*Magdalena.Nawrocka@ibm.net*)

TRAK TRR...
TRAK!
LATO AMAZONEK

MUSZĘ SIĘ UWOLNIĆ, SKORO JESTEŚMY TYLKO MY DWOJE...
NO, PUSZCZAJ!
UFF! UDAŁO SIĘ! A TERAZ...
?!
WRACAMY NAD RZEKĘ, TYLKO TAK ZNAJDĘ JAKĄŚ CYWILIZACJĘ!

ZACHODZI SŁOŃCE. MUSIMY GDZIEŚ TUTAJ PRZENOCOWAĆ.
ZNAM TE SKARPY. JESZCZE DWA, TRZY DNI DROGI
OOOOCH!

KOLEJNY ZACHÓD SŁOŃCA...
...I KOLEJNY WSCHÓD...
KOLEJNY, GORĄCY DZIEŃ...
!
WIDAĆ DYM. PAMIĘTAM, WIDZIAŁEM TO MIEJSCE PODCZAS LOTU. BĘDZIEMY TAM JUTRO.
WIESZ, CO? ROZWIĄŻĘ CIĘ. I TAK MIAŁEM ZAMIAR..., ALE CHYBA POWINNAŚ TERAZ WYBRAĆ... PEWNIE ODEJDZIESZ...
ZAATAKOWAŁAŚ MNIE, ALE JUŻ DAWNO PRZESZŁA MI OCHOTA NA ODWET. ZARAZ BĘDZIESZ WOLNA...

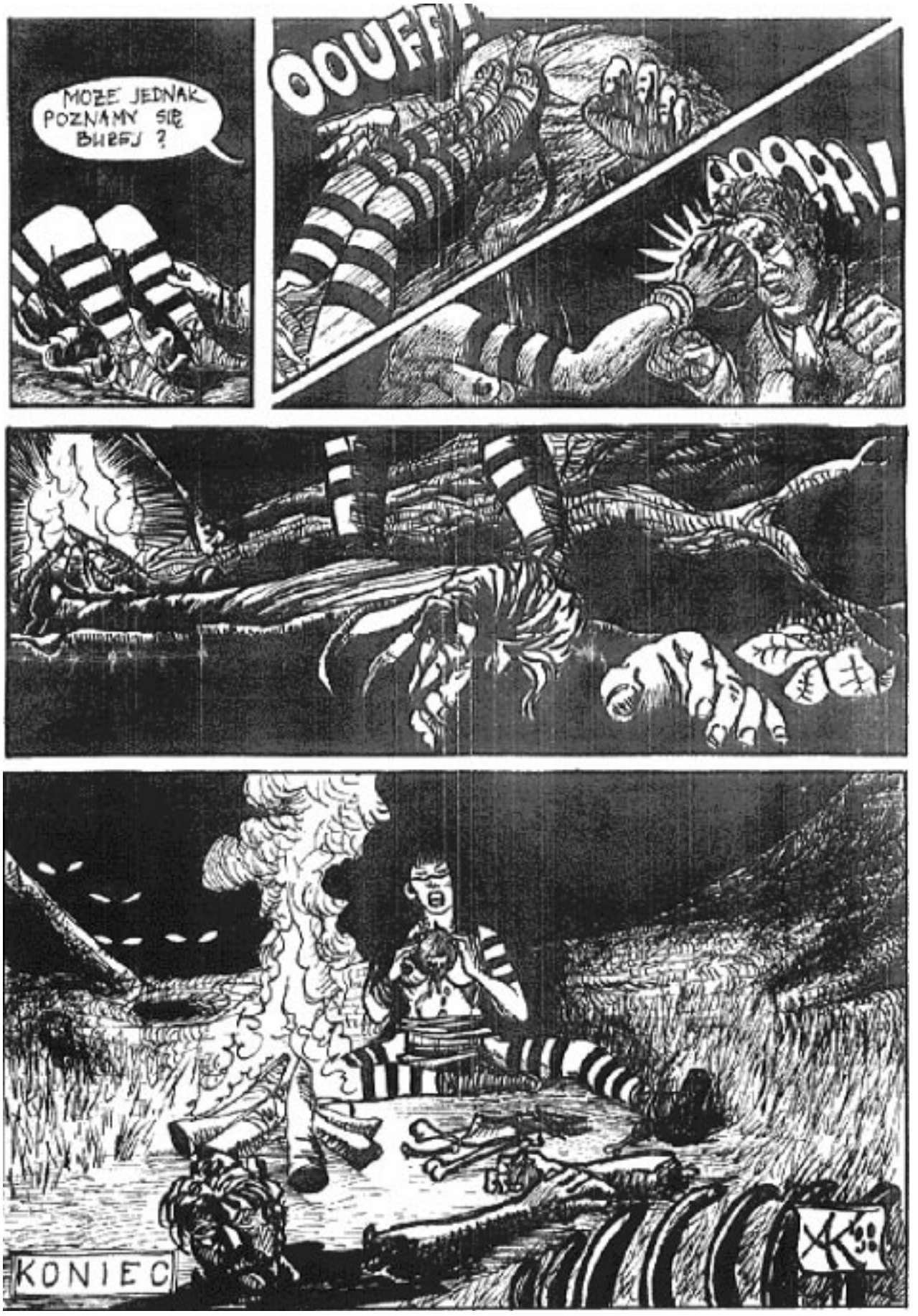
MOŻE JEDNAK POZNAMY SIĘ BLIŻEJ ?
OOUFF!
AAAAA!
KONIEC

Teksty trzy

Mistyczny jeździec miedziany

Rano, ledwie się zwlekam z łóżka, siadam do komputera i klikam jakiś czas, chcąc się przekonać czy po miedzianym drucie nie spłynęło na mnie tej nocy jakieś oświecenie, czy to w postaci białoskrzydłego e-mailu, czy to ognistego newsa. Potem, kiedy tylko w ciągu dnia znajdę chwilę powtarzam ten obrzęd kilkakrotnie.

Wiara tuczy handlarzy relikwiami

Wiara moja wciąż nie owocuje cudem. Może zbyt mało wyrzeczeń. Z pomocą przychodzi mi prasa religijna, gdzie wiele jest propozycji usprawnień mojego sprzętu. Wiele też znajduję rad w jaki sposób zintensyfikować i zwielokrotnić, abym już bez pudła mógł złapać za pięty absolut, wtedy jeden rozbłysk światła wystarczy by bity ułożyły się w obraz zbawienia klikacza. Jednak życie mija i nic się nie dzieje, obietnica się nie spełnia a narastający niepokój grozi niewiarą

Gmina IRCowników

W obliczu kryzysu wiary, wklikuję się szybko na IRC albo nawet Chata, a wtedy świadomość wspolnoty dodaje mi otuchy. Oto tysiące takich jak ja istot bez domu, tkwi gdzieś w mroku, wpatrując się tęsknie w światło i z radosnymi "ja cię wy...[cenzura niewiernych] z kanału" poszukuje swojego szczęścia. Te wspólne śpiewy regulują ciśnienie i uspakajają wydzielanie soków trawiennych. Doznaję pocieszenia, odzyskuję wiarę. Mogę spocząć spokojnie do snu kołysany mruczeniem miedzianego przewodu w ścianie, mojej mistycznej pępowiny. Drugpa Kunlej śpiewał: "spójrzcie na tysiące małych i tysiące dużych stworzeń wszystkie podążają do miasta śmierci" czyli, że kiedyś ktoś z kodu binarnego wyjmie wszystkie jedynki.

Enkidu

(*boggie_1@friko5.onet.pl*)

ilustracja autorki

Filiżanka herbaty

Położyłam głowę na jego ramieniu. Chciałam, aby mnie przytulił, aby odwrócił się i spojrzał mi w oczy z wyrazem zainteresowania i troski. Ale on tego nie uczynił. Jak zwykle zresztą. Powinnam była się już do tego przyzwyczaić, ale jakoś nie potrafiłam. Ciągle jeszcze naiwnie oczekiwałam, że się zmieni, że obudzi się w nim skrywana czułość i serce. Popełniałam błąd, nie warto było czekać. Ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałam. Byłam wtedy jeszcze pełna nadziei. A on jak zawsze się nie odwrócił i nie spojrzał na mnie z czułością. Nadal siedział nieruchomo w swoim fotelu pochłonięty czytaniem gazety. Tej cholernej gazety. Przez niego zaczęłam nienawidzieć wszelkiego rodzaju czasopism, bo były dla niego ważniejsze ode mnie, bo mi go zabierały. Podniosłam się po raz nie wiem który z poczuciem odepchnięcia i rozczarowania, i pomaszerowałam do kuchni, by podnieść się na duchu filiżanką gorącej herbaty. Ona była moją najlepszą przyjaciółką. Wstawiłam wodę i przysiadłam na wysokim zydlu spoglądając przez okno. Niebo mieniło się pięknymi odcieniami niebieskości po zachodzie chłodnego zimowego słońca.

Wtedy właśnie, wpatrując się w tę zimną niebieskość, postanowiłam, że muszę z tym skończyć. Nie mogłam dłużej znosić jego nieobecności i chłodu. Zasługiwałam na coś znacznie lepszego. Zasługiwałam na ciepło i bliskość, zasługiwałam na prawdziwą miłość. Siedziałam na zydlu i czułam wyraźnie, jak pęcznieje we mnie złość na niego i potworna nienawiść za to, z czego mnie odziera. Byłam przy nim niczym, byłam pustką, kawałkiem chodzącego i dbającego o jego męskie wygody, zwyczajnego mięsa. Tak to ujrzałam. I zrobiło mi się niedobrze, zebrało mi się na wymioty. Opanowałam się w ostatniej chwili, wyrwana z obrzydzenia przez opary gotującej się wody buchające z czajnika. Przyrządziłam sobie filiżankę mojej ulubionej herbaty.

Kochałam ten złocisty gorący napój, który budził we mnie dobre wspomnienia i miłe uczucia. Otwierał we mnie ogromne przestrzenie, których nigdy bym nie poznała. Z każdym łykiem odkorkowywał się we mnie świat subtelności i ledwo postrzegalnych wrażeń. Rzeczywistość nabierała przyjemnej mgiełki czarowności, niesamowitości i piękna. Zanurzałam się z lubością w ten inny świat, gotowa oddać się całkowicie jego mocy. I dzisiaj też wstąpiłam w tę mgiełkę, pełna ufności oczekując wytchnienia i odnalezienia ciepła, którego tak bardzo było mi brak.

Osuwałam się w dobrze mi już znaną zaczarowaną rzeczywistość i odnajdywałam ukojenie. Znikałam dla realnego świata innych ludzi, byli dla mnie nieobecni. Ja dla nich stawałam się niemal niewidzialna, niedostrzegalna. Płynęłam z lekkością płomienia świecy i tajemniczo się uśmiechałam. Ten uśmiech otwierał mi drogę do każdych drzwi. Stawałam się dla każdego nieosiągalna i nietykalna. Nic, co się wydarzało na zewnątrz mojego jestestwa, nie dotyczyło mnie już bezpośrednio. Przebywałam w innej przestrzeni, oddzielona cienką nicią, która jednak zmieniała całą

rzeczywistość w sposób zasadniczy. Nie istniały tu prawa ani obowiązki, nie obowiązywały ograniczenia ani prośby. Był to świat pozbawiony lęków i zagrożeń. Wszystko unosiło się w poświacie wszechogarniającej delikatnej miłości i łagodności. Dlatego czułam się tutaj tak dobrze.

Nie lubiłam wracać do rzeczywistości. Wszystko nabierało znowu tych twardych, ostrych kształtów i na wszystko trzeba było w jakiś wyraźny sposób reagować. W tamtym świecie nie było przymusów, wszystko działo się w sposób przyjazny, płynny i nieokreślony. Tutaj trzeba było się ciągle koncentrować, ponosić odpowiedzialność i konsekwencje wymuszonych przez rzeczywistość czynów. Nienawidziłam tego. Wolałam być przyjemną mgiełką. Dlatego, kiedy tylko kończyło się działanie herbaty, niemal natychmiast parzyłam sobie następną. I znów uciekałam w przyjemną, bezpieczną przestrzeń. Zawsze jednak trzeba było w końcu wrócić na pewien czas do rzeczywistości i znów zaczynały się problemy i troski.

Andre nadal siedział w fotelu, jakby nic się nie zmieniło, jakby czas wcale nie płynął. On oczywiście nie miał pojęcia o moim herbacianym świecie. Czy on w ogóle cokolwiek o mnie wiedział? Jego to w ogóle nie obchodziło. Byłam dla niego jedynie kawałkiem mięsa, jak słusznie zauważyłam. Byłam tylko poruszającym się zbiorem mięśni, ścięgien, kości i tłuszczu. Oczywiście nie widział tego tak dokładnie, nie znalazł w sobie dość chęci na tak głęboką analizę. Widział tylko całkowity obraz tych wszystkich części. Zresztą we wszystkim był powierzchowny i zimny. Nie mam pojęcia jak to się stało, że znalazłam się przy nim. Musiałam kompletnie zwariować, żeby łączyć się z takim człowiekiem.

Mama twierdziła, że wszyscy mężczyźni są tacy, ale z moich doświadczeń wynikało, że to nie całkiem prawda. Ciotka Julia uważała, że nie można mężczyznom mówić prawdy i trzeba jakoś ułożyć sobie życie lawirując między udawaniem idiotki, która nie ma własnych zainteresowań i poczucia wartości, a kuchnią. Z tym też się nie zgadzałam. Widocznie miały pecha. Oczywiście zdarzali się tacy mężczyźni, niestety Andre również należał do tej grupy, ale istniali też inni, ciepli, czuli i partnerscy. Zawsze pragnęłam połączyć się z takim wspaniałym mężczyzną, ale los popchnął mnie w niewłaściwe ręce. Wpadłam w tę samą pułapkę, co moja ciotka i matka. Nie mogłam zrozumieć dlaczego. Dlaczego mi też się to przytrafiło?

Jednak w przeciwieństwie do nich, postanowiłam dłużej na taką sytuację się nie godzić. Nie miałam najmniejszego zamiaru rezygnować ze swoich praw do szczęścia i wolności. Andre był wstrętnym, ograniczonym egoistą. Nie ulegało wątpliwości, że popełniłam kardynalny błąd mając nadzieję, że dzięki mojej wrażliwości i chęci pomocy, się zmieni. On wcale nie chciał się zmienić, mało tego, wydawał się z siebie całkiem zadowolony. Opanowało mnie oburzenie, kiedy uświadomiłam sobie, ile cennego czasu straciłam w towarzystwie tego tępego, nieciekawego i nadętego typa. Miałam nieprzepartą ochotę zemścić się na nim za te pełne cierpień lata. Miałam ochotę poorać mu całe ciało, zadać mu jakiś straszliwy ból, aby w jakiś wymierny sposób odpokutował za moje nieszczęśliwe z jego powodu dni. Absolutnie uczciwie mu się to należało. Może by wreszcie dotarło coś do jego upartej łepetyny i może nabrałby trochę niezbędnej pokory. Nie znał uczucia skromności, nigdy nie poczuł się wykorzystany ani poniżony, zawsze to on innych pogrążał i niszczył. Pozbawiony był kompletnie jakiejkolwiek wrażliwości. Dlatego nie mógł nic wiedzieć o ludziach. Wydawało mu się, że wie kim jest on sam i to mu w zupełności wystarczało, reszta miała służyć jego potrzebom i zachciankom. Inni byli niczym. Z początku imponowała mi jego siła i poczucie pewności, ale z czasem odkryłam, że to czyste grubiaństwo. Bardzo się rozczarowałam. Nadal jednak nie mogłam uwierzyć, że można być takim człowiekiem, sądziłam, że wystarczy trochę chęci z mojej strony i uda się go obudzić do prawdziwego życia. Moje nadzieje okazały się jednak daremne. Nic nie zdołało go zmienić i wiedziałam już, że nic nie zdoła go poruszyć. Był twardy i zamknięty, nie było do niego dojścia. Sam skazał się na zagładę. Bo w moich oczach, życie jakie prowadził, nie było wcale życiem, lecz umieraniem. Zdychał powoli z upływem każdego dnia, każdej godziny. Zostawało mu coraz mniej czasu. A on tkwił jak kompletny głupiec w środku swojej trumny nie zdając sobie sprawy z własnego położenia. A przecież sam sobie

ilustracja autorki

ilustracja autorki

tę trumnę zbudował. Zdychał z braku uczuć, ruchu i powietrza. Powoli, niemal niedostrzegalnie umierał. Teraz to spostrzegłam, wcześniej jakoś uszło to mojej uwadze. Herbata bardzo zmieniała sposób i zakres postrzegania, cały czas działała. Jej drobny fluid stale krążył w moim ciele, zasilany wciąż nową, świeżą dawką. Jej stężenie więc także powoli się zwiększało. Coraz bardziej istniałam po tamtej stronie świata. Coraz więcej odczuwałam tamtymi zmysłami. Byłam coraz bliżej tajemniczej, przyjaznej mgiełki. Nie wiedziałam co się stanie, kiedy mnie całą ogarnie, ale pragnęłam tego, czułam że tamten świat jest przeznaczony dla mnie, jest mój.

Rano wstałam, zjadłam śniadanie, spakowałam najważniejsze rzeczy i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Klucze zostawiłam w środku, na zwykłym miejscu. Potem udałam się do banku i wyciągnęłam wszystkie swoje oszczędności przelewając je na konto innego banku i na nowe nazwisko. Chciałam bez słowa zniknąć z tego życia. Przynajmniej tyle mi się należało. Nie chciałam jasno rozwiązywać swojego związku z Andre, to byłoby zbyt uprzejme i zbyt trywialne, nie zasługiwał na to. Dla mnie po prostu zniknął i nigdy go nie było, zdawało mi się tylko. I tak to wyglądało. Przynajmniej w mojej wizji herbacianej.

Kiedy bowiem tego pamiętnego wieczoru, po wypiciu swojej filiżanki herbaty, spoglądałam z obrzydzeniem na Andre wspominając wszystkie jego braki i wady, zaczęło się dziać coś dziwnego. Odnosiłam wrażenie, że Andre zaczyna znikać, coraz słabiej go widziałam. Siedział tam w swoim fotelu, zaczytany nadal, ale jego kontury jakby powoli zaczynały się zacierać. Jakby pochłaniała go lekka mgła. Stawał się coraz mniej widzialny, coraz bardziej przeźroczysty. Podeszłam bliżej, aby się przekonać co się dzieje. Nie wiedziałam, czy to ja tracę zmysły, czy rzeczywiście Andre znika. Ale im bliżej do niego podchodziłam, tym wyraźniej rozpuszczał się w przestrzeni. I kiedy znalazłam się całkiem blisko i chciałam dla pewności dotknąć jego ramienia, moja dłoń zawisła w powietrzu, nikogo nie było.

Przez jakiś czas nie bardzo mogłam pojąć, co się stało i przyglądałam się nadal pustemu teraz fotelowi, czekając aż moja wizja minie i Andre znajdzie się spowrotem na poprzednim miejscu. Nic jednak się nie działo i zrozumiałam, że jest po wszystkim. Proces był nieodwracalny. Wtedy dla zapieczętowania sprawy, sama usadowiłam się wygodnie w fotelu i rozpostarłam z radością ramiona - byłam wolna!

Ponieważ nie byłam do końca pewna realności swojej wizji, wolałam się jak najszybciej ulotnić. Dlatego opuściłam nasz dom i zatarłam wszelkie ślady, które mogłyby na mnie naprowadzić. Potem wsiadłam w samolot i udałam się w długą podróż. Chciałam przede wszystkim najpierw dobrze odpocząć. Potem zastanowię się nad dalszymi krokami.

Na lotnisku jednak przypomniałam sobie, że zostawiłam w mieszkaniu swoją ulubioną filiżankę od herbaty. - Cholera, muszę po nią wrócić, - nie wyobrażałam sobie bez niej swojego istnienia. Zostawiłam w przechowalni bagaże i poszłam na postój taksówek. Kiedy podałam kierowcy mój adres stwierdził, że nie ma takiej ulicy. Uznałam go za durnia i powiedziałam, że pomogę mu ją odnaleźć. Mówiłam mu więc całą drogę jak ma jechać i kiedy byliśmy wreszcie na miejscu i już miałam powiedzieć zjadliwie - no i widzi pan, a nie mówiłam, że istnieje taka ulica! - kiedy zobaczyłam na tabliczce zupełnie inną nazwę. Nie mogłam w to uwierzyć. Kazałam mu podjechać jeszcze kawałek, aż pod mój dom, ale okazało się, że mój dom także zniknął, nie istniał. Byłam tak skonsternowana, że wysiadłam z samochodu, zapłaciłam i puściłam go wolno. Nie wypowiedziałam ani jednego słowa. Stałam i nie wiedziałam, co myśleć o tym wszystkim. Najwyraźniej to działało o wiele mocniej, niż mogłam to podejrzewać nawet w swoich najśmielszych wyobrażeniach. I to nie było już tylko pocieszające działanie herbaty, teraz byłam pewna, to była ta filiżanka. No, może działała tylko pod warunkiem, że nalewało się do niej herbaty, ale to było jej działanie. Kupiłam ją któregoś dnia na pchlim targu. Wpadła mi od razu w oko. Kupiłam ją bez zbytniego targowania, wiedziałam, że muszę ją mieć, cena nie grała roli. To ona otworzyła mi oczy, to ona uratowała moje życie. Ale teraz jej nie było. Widocznie zrobiła wszystko, co do niej należało, spełniła swoją rolę. Być może znowu czeka na jakimś pchlim targu, by komuś pomóc.

Magda Alina Pawlak-Mirowska

(*zm@medianet.com.pl*)

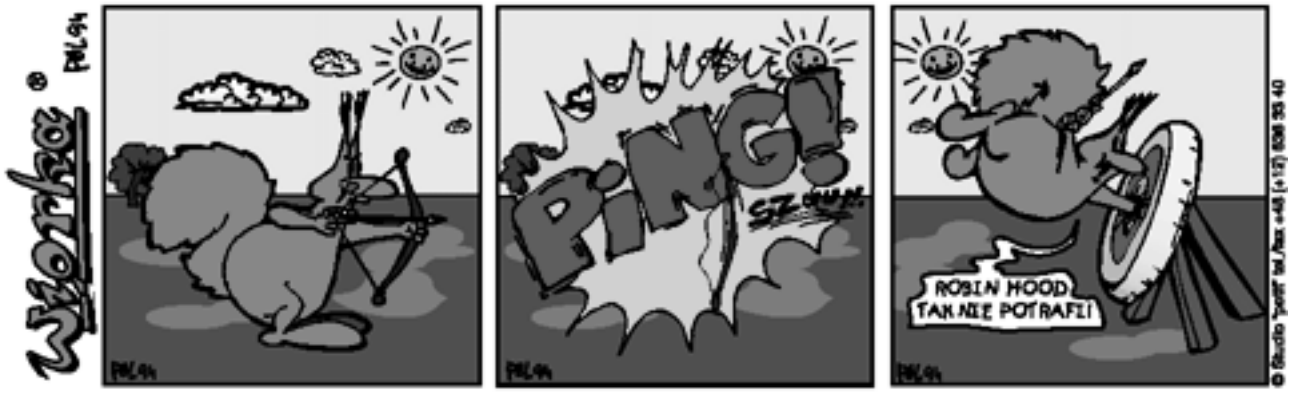
Wiórka
PAL'94
PING!
SZ
ROBIN HOOD TAK NIE POTRAFI!

Wiórka
PAL'94
HEJ! SZABLE W DŁOŃ!!!
YYP!!
EEECH... TE DZISIEJSZE SZABLE...
PAL'94 & KIAMIL

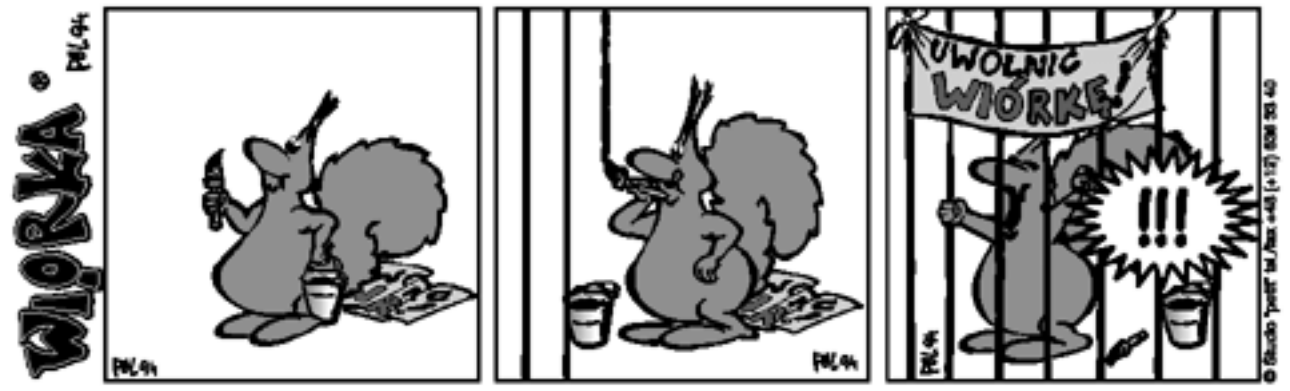
WIÓRKA
PAL'94
UWOLNIĆ WIÓRKĘ!
!!!

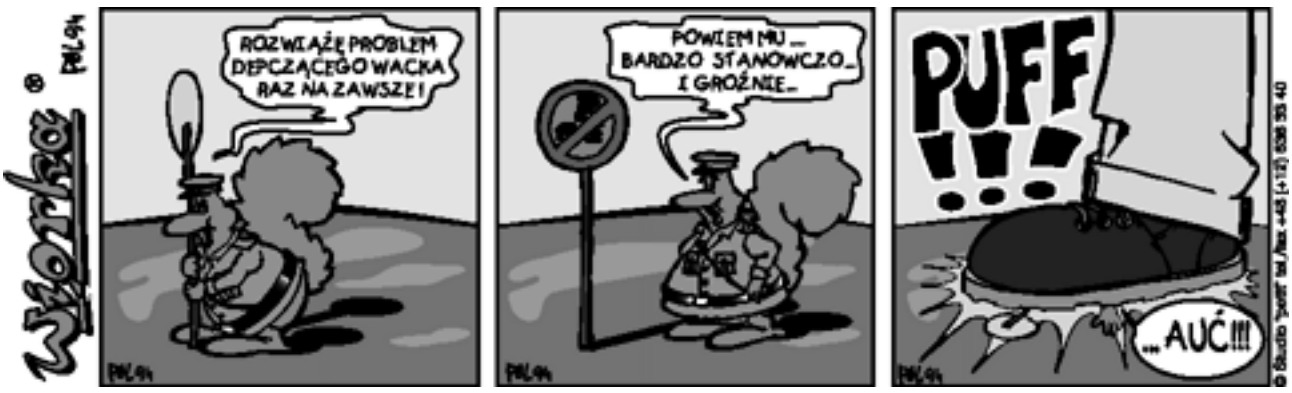
Wiórka
PAL'94
ROZWIĄŻĘ PROBLEM DEPCZĄCEGO WACKA RAZ NA ZAWSZE!
POWIEM MU... BARDZO STANOWCZO... I GROŹNIE...
PUFF!!!
...AUĆ!!!

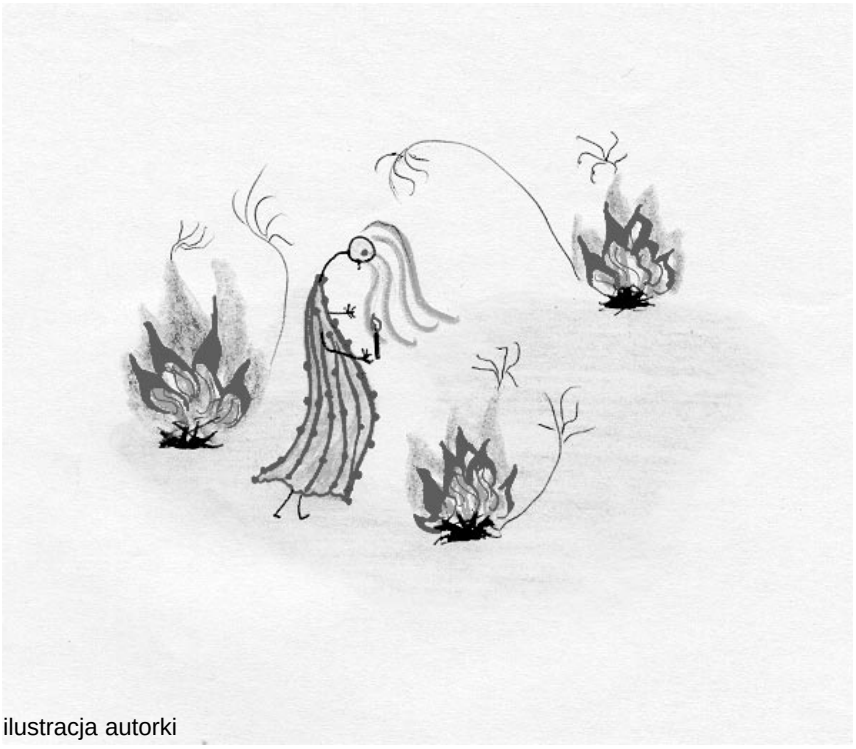

ilustracja autorki

Ocieram się o ciepło ludzkich ognisk
I rąk spragnionych
Przemykam wśród tłumu
I ciągle się mijam
Czasem rombek sukni
Rozżarzę w czyimś domu
Szafirem
I zgaszę
Bo moja świeczka
Jest cieńsza od zapałki

Nocną gwiazdą
Co chciała by przyćmić słońce
I patyczkiem
Co miewa trzy końce
I ślimakiem
Tym na pierogi
Horyzontem
Gdzieś na końcu drogi
Jestem

ilustracja autorki

Okiem fantasty

Kiedyś wymyśliłem sobie cztery kryteria oceny książki, czy filmu. Potraktujcie to jako zabawę, bowiem ja sobie świetnie zdaję sprawę, że takie ocenianie literatury według wymyślonej skali ma równie dużo sensu jak ocenianie jakości wiersza na podstawie wykresu jak to miało miejsce w „Stowarzyszeniu Umarłych Poetów". Pozwolicie, że moje rozważania oprę na literaturze i filmie fantastycznym, w końcu nazwa rubryki do czegoś zobowiązuje. A więc moje kryteria to: temat - czy jest oryginalny, czy ciekawy; akcja - czy jest wartka, czy wciąga, czy widz/czytelnik się nie nudzi; przesłanie – czyli, czy dane dzieło zmusza do myślenia, czy nachodzą cię jakieś późniejsze refleksje; oraz dla mnie najważniejszy, często decydujący o ocenie dzieła - klimat, czyli ta atmosfera, powodująca o tym, że zapominasz przy lekturze o całym tym smutnym, otaczającym cię świecie, całkowicie zagłębiasz się w treść, czujesz się prawie uczestnikiem wydarzeń tam opisanych. Nie wiem, może fakt, że cenię sobie najbardziej funkcję eskapistyczną literatury czy filmu, nie najlepiej o mnie świadczy, ale trudno, tak już jest. Co właściwie decyduje o tym klimacie? Cóż, właściwie dla każdego atmosfera jest tworzona przez coś zupełnie innego. Ale nie miałem pisać o każdym, tylko o sobie. Dla mnie więc klimat powinien być mroczny, ponury, przygnębiający. Właśnie coś takiego może mną całkowicie zawładnąć. A tworzone jest to na przykład przez ciemności i padający ciągle deszcz jak w „Blade Runnerze", czy „Siedem", jak przez poczucie całkowitej bezradności, jak w niektórych tekstach Rafała Ziemkiewicza, jak przez tajemnice i niedopowiedzenia jak w „Z Archiwum X", powieściach Dicka, czy konstruowaniu intrygi przez Stephena Kinga. Przykładów zresztą może być wiele.

Odpowiedni więc dobór składników (przy przewadze tych tworzących nastrój) powoduje więc, że powstaje dzieło pozwalające na oderwanie się od rzeczywistości.

Takie utwory powodują, że nie można pójść spać, aż nie skończy się czytać, niezależnie od tego, czy następnego dnia ma się egzamin, czy też trzeba wcześnie rano wstać. Nieprzypadkowo wspominam tu o egzaminach, kolokwiach, czy też innych klasówkach. Tak się bowiem składa, że takie nieprzespane noce spowodowane dopiero co zakupioną książką (niezależnie czy był to Tolkien, Bułhakow, czy nawet McLean), kojarzą mi się właśnie z czasami szkoły podstawowej, średniej, czy studiów. Teraz, po zakończeniu nauki, po rozpoczęciu pracy, wyprowadzeniu się na swoje, jest jakoś inaczej. Już aż takie zafascynowanie książką nie zdarza mi się praktycznie nigdy. Czytam wiele różnych rzeczy, bardzo często podobają mi się, ale cały czas czuję, że czegoś tu brakuje, że coś powinno być inaczej. I nie jest to tylko moje zdanie.

Dlaczego tak się właściwie dzieje? Czy to ja się zmieniłem, czy też może 10 lat temu powstawały wspanialsze dzieła? Czyżby następował regres literatury science fiction?

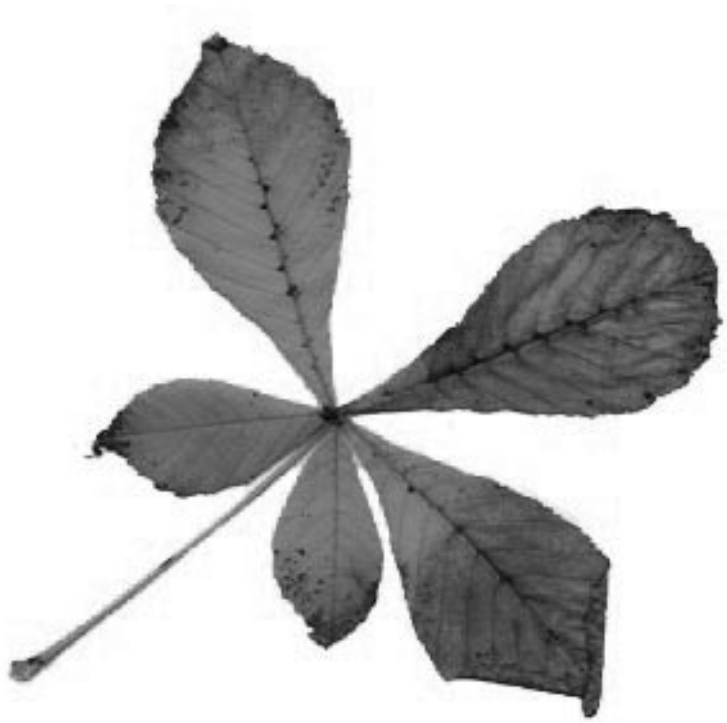

Wydaje mi się, że jest kilka powodów. Po pierwsze - niestety chyba coś złego dzieje się z fantastyką. Być może wyczerpują się już pomysły i autorzy powielają stare schematy. Oczywiście nie jest tak, że nie powstaje już nic dobrego, ale na pewno coraz trudniej jest znaleźć coś nowatorskiego, odkrywczego. Częściej czytając mam niejasne odczucie: „Ja skądś to znam". Czasem przyjemnie jest przeczytać kolejną sprawnie napisaną opowieść o dzielnej Drużynie zmierzającej do Celu we Wrogiej Krainie, aby zdobyć Magiczny Artefakt, czy też historię o tym, że tak naprawdę rządzą na Ziemi Oni, a my jesteśmy tylko marionetkami w Ich rękach. Ale ile razy można?

A może to ja się zestarzałem i nie tak łatwo mnie zachwycić, jak to było kiedyś? Dawniej wystarczyła najprostsza opowiastka, z akcją toczącą się w kosmosie, abym czytał to z wypiekami na twarzy. Teraz często boję się wracać do takich starych pozycji, aby nie zatrzeć wspomnień, nie rozczarować się, nie zastanawiać się, jak to mogło mi się podobać.

Mam więc kolejne wyjaśnienie nurtującego mnie pytania - w dawnych czasach wydawano fantastykę rzadko, więc każda taka pozycja stawała się rarytasem. Teraz przy zalewie przeróżnych pozycji, człowiek staje się dużo bardziej wybredny. Szuka czegoś, co będzie się wyróżniało, pozostawi jakieś niezatarte wrażenie. Ale kłam temu twierdzeniu zadaje każde sięgnięcie do starszych numerów „Fantastyki". Nawet pomimo zalewu (rozejrzyjcie się w którejkolwiek księgarni) pozycji ze znaczkiem „SF" na okładce, wracając do „Piaseczników" G.R.R. Martina, „...za jeden miniony dzień" tegoż autora, opowiadania „Thor spotyka Kapitana Amerykę" Davida Brina, czy też starszych pozycji Philippa K. Dicka, wiem, że czytam coś znakomitego i że nie potrafię znaleźć równie dobrych odpowiedników w numerach z ostatnich kilku lat.

Wreszcie jest trzeci powód, wcale nie najmniej ważny. Czasy się zmieniły. I nie chodzi tu tylko o to, że jestem starszy. Po prostu w czasach szkolnych, dużo łatwiej było oderwać się od prawdziwego życia. Jakie się wtedy miało problemy? Z ówczesnego punktu widzenia pewnie niemałe - dziewczyny, klasówki, etc. Ale tak naprawdę nie było to nic od czego nie można się było oderwać. W momencie, gdy kończy się studia, zaczyna pracę, zaczyna się samemu mieszkać, już trudno jest przestać myśleć, co trzeba na jutro do pracy przygotować, co ugotować sobie na obiad, jakie zakupy trzeba zrobić. I nawet gdy późnym wieczorem próbujesz położyć się do łóżka ze świeżo zakupioną książką, gdzieś tam krążą pod czaszką wszystkie problemy, pytania. I tak naprawdę nigdy nie znajdziesz się całkowicie w tym stworzonym przez jakiegoś autora świecie, bo część twojego i tak zabierasz ze sobą. I wszelkie kwestie powracają do ciebie przy najmniejszym skojarzeniu, jakie tylko może się pojawić w czytanej książce. A wtedy gwałtownie i boleśnie powracasz do rzeczywistości.

Z filmami jest dużo prościej. Tu dla większości osób nie ulega wątpliwości, że kino fantastyczne zmierza w bardzo złym kierunku. Świetnym mottem może być tu slogan reklamowy „Godzilli" - „Liczy się wielkość". Może nie dokładnie wielkość, lecz rozmach, widowisko, efekty specjalne. Przestaje natomiast liczyć się fabuła i sens. Ważne, żeby było efektowne, nieważne, że treść się kupy nie trzyma. Moim zdaniem zaczęło się to filmem „Terminator 2" - pierwszym filmem, w którym zrezygnowano z treści na rzecz imponujących efektów specjalnych. A dalej już poleciało. Jak wiadomo liczy się zysk (i trudno właściwie się temu dziwić), a jak się okazało, zysk w filmach science fiction przynoszą fajerwerki techniczne. Już w owym „Terminatorze" realizatorzy nie zadbali o uwiarygodnienie zdarzeń w scenariuszu filmowym, popełniając jeden za drugim błędy logiczne. Sztandarowym natomiast przykładem staje się tu przebój kasowy „Dzień niepodległości", film o błahej i nieprawdopodobnej fabule, natomiast niesamowitych trikach. I tak jest cały czas, tytuły mógłbym wymieniać bez końca: „Park Jurajski", „Event Horizon", „Zaginiony świat", „Dzień zagłady",„Armageddon", „Godzilla". Jeśli jakiś reżyser chciałby zrobić film ambitniejszy, inteligentny, z ciekawą fabułą, na pewno nie sięga już po poetykę science fiction - jest przecież tyle innych gatunków. Chyba musimy się przyzwyczajać do myśli, że takiego filmu jak „Blade Runner" już nie zobaczymy. Choć może przyszłoroczna pierwsza część „Gwiezdnych Wojen" okaże się udanym połączeniem efektownego widowiska i ciekawej fabuły? Mam taką nadzieję, ale jestem pełen obaw.

Teraz właściwie przyszedł czas na jakieś konkluzje, ale niestety, nie będzie żadnych. Po prostu tekst ten miał być próbą znalezienia przyczyny zmian i wyrazem mojej nostalgii za tymi dawnymi już czasami uniesień i zachwytów nad literaturą (niekoniecznie najwyższych lotów) i filmem sf, a które, jak wszystko na to wskazuje, już dla mnie niestety przeminęły. Mam jednak iskierkę nadziei, że się mylę.

Konrad Wągrowski

(*kwagrowski@eragsm.com.pl*)

[PODWORKO] Zza kierownicy widziane.

Dzień siódmy, 7 lipca 1998
Nocleg, wyjazd i dotarcie do Arctic Circle.

O rany, co tak mokro, która to godzina? Siwy dym, dopiero czwarta. Co to jest, chyba się nie podlałem. Macam dookoła, wszędzie woda, ki pierun. Śpiwór mokry, mój dres robiący za pidżamę też. Wodę czuję na całym ciele. Na szczęście latarka nie zamokła. Bo chociaż na zewnątrz jest prawie widno, to jednak w namiocie szarówka. Przyświecając sobie latarką znajduję miejsce przecieku. To na łączeniu podłogi i dwóch ścian, bocznej i tylnej, namiot musiał być za mocno naciągnięty i puściło szycie. A złośliwość sprawiła, że akurat tam musiała płynąć rzeka deszczowa i wlewała się do namiotu. Mój śpiwór i ja stanowiliśmy doskonały wał przeciwpowodziowy. To ustrzegło innych od zalania. Zmieniam mokry dres na suche ubranie z torby. Śpiwór zostawiam i ma służyć dalej jako zapora wodna, dziurę zatykam ręcznikiem i wychodzę na zewnątrz.

Leje jak z cebra. Kopię siekierą mały rowek odwadniający i skierowuję wodę na bok, by nie płynęła jak przedtem pod namiot. Znowu jestem mokry, ale jest ciepło, więc się nie przejmuję. Gdyby to była wiosna to zapalenie płuc gotowe, dzisiaj co najwyżej katar. Rozkładam sobie pod dachem z plandeki dwa krzesła, na jednym siadam, a na drugim kładę nogi. W takiej pozycji po wypaleniu dwóch papierosów zapadam w półsen.

Budzi mnie zimno, mam zdrętwiałe nogi i kark. Właśnie dochodzi szósta, nie ma co już spać. Rozpalam kuchenkę i gotuję wodę na kawę, martwię się, czy jak będę wyciągał termos z auta, to nie zbudzę Bani. Jeżeli nie zablokowała drzwi, to chyba nie, potrafię je cicho otwierać, ale jak zablokowała, to będę musiał użyć remote control, a wtedy syrena zapiska dwa razy. Na szczęście Banieczka się nie zamknęła. Razem z termosem biorę chleb i puszkę. Kawa już gotowa, och jak smakuje, jest gorąca i tak pachnie, jak ona pachnie. No co ma nie pachnieć, oryginalna kolumbijska, no i Lajkonik parzył.

Z kanapki jednak nici, otwieracz został gdzieś tam w aucie, a tego, co zawsze jest przy każdej puszce, właśnie przy tej nie ma. Deszcz zaczyna ustępować, może w ogóle przestanie padać. Na zegarku siódma, deszcz ustał prawie zupełnie, decyduję się robić pobudkę. Jejku jak wszyscy mnie zaraz znienawidzą, nie ma jednak rady.

Budzę delikatnie wszystkich, zaczynam jak zwykle od KaraKhana, nie widzę uśmiechu na jego twarzy, to samo z Banieczką, jedynie Maciek wstaje natychmiast, a widząc co się dzieje, od razu pyta, co robić. Widać, że prawie trzy lata w kadetach i nasze wojaże dały mu dobrą szkołę. Banieczka robi jakieś kanapki na szybkiego. My zwijamy obozowisko. Nagle zaczyna lać, ale tak jak to się mówi, jak z oberwanej chmury. Gonię wszystkich do auta, jeszcze mi tylko potrzeba, aby się ktoś rozchorował. Sam kończę zwijanie namiotu, wszystko jest strasznie mokre. Ładuję to do samochodu, jest brudne i cieknie z tego woda. To już nie jest niedzielny piknik, teraz zaczyna się walka z naturą. Nawet nie myślę, jaka będzie droga, nie myślę też, co będzie jak nie przestanie lać. Po raz drugi tego dopiero zaczętego dnia przebieram się w suchą odzież. Nawet nie zdawałem sobie dotychczas sprawy, jak ciężko jest zmienić mokre spodnie siedząc na siedzeniu za kierownicą. Wreszcie wychodzę na zewnątrz, portki spadają jak by były z blachy, wskakuję w drugie.

Szczytami gór Alaski do Kanady.

Domek traperski bogatego farmera.

Koszulę i sweter zakładam już w aucie. Przez otwarte okno sprawdzam, czy coś nie zostało. Ruszamy, te mokre ciuchy, mokry sprzęt i namiot sprawiają że szyby są całe zaparowane. Włączam ogrzewanie prawie na maximum, robi się nieznośnie gorąco, to auto jest produkowane na północną Kanadę, a więc i ogrzewanie musi mieć dużo wydatniejsze niż normalne europejskie auto. Jedziemy tą samą drogą, co wczoraj. Do Fox mamy 120 mil, a 100 mil to 168 kilometrów. Na wszystkich przełęczach jest mgła, widoczność prawie zero. Jeżeli jednak dzisiaj mamy dotrzeć do Koła Podbiegunowego, to musimy ostro grzać. Po cichu obliczam mile i paliwo. Do Fox mamy te około 120 mil. Z Fairbanks do koła jest 365 mil, minus te 40, które jest do Fox, co nam daje około 445 mil, cholera, dużo, jak na taką pogodę i drogę, no ale może się uda. Ustawiam C/C, to jest Cruise Control. Nastawiam na całe 120 km. Już nie muszę pilnować licznika, skupiam się na drodze. Jejku, ile bym dał, abym mógł widzieć co najmniej na sto metrów.

W aucie jest cisza, w głośnikach kolejna płyta, jakiś Jazz, niestety odbieram to tylko jednym uchem a i to tylko czasami. Mgła nie pozwala na rozglądanie się po lasach za rakietami, które widzieliśmy wczoraj, zresztą my z podworka, RAP nie dla nas, a rakiety to polityka na 102. Wreszcie jest Fox, a na zegarku 10:27. Nie do wiary, w dwie godziny pokonaliśmy 120 mil, po takich drogach i w taki deszcz. Jest on teraz trochę mniejszy, ale nadal pada. Tankujemy paliwo i na tej samej stacji idziemy do sklepiku. Tu można kupić wszystko, są myśliwskie strzelby i naboje, są Beretty i Colty, na gablocie wisi ogłoszenie, sprzedam "kałacha - 50% off". Jest też stanowisko monopolowe, z drugiej strony lady, przechodzi się jak pod ladą, nad wejściem tabliczka, "czy masz 21 lat?" cholera, przy flintach takiego czegoś nie ma, ale jak chcesz kupić piwo to musisz mieć całe 21 wiosen. Za karę i upokorzenie kupuję całego litra kanadyjskiej whisky. Chcę zapłacić za wszystko po tej

Grizzli, widzieliśmy je często, ale o przyjaźni z nimi nie marzyliśmy.

alkoholowej stronie, niestety nie da rady, tam mogę zapłacić tylko za gorzałę, a za chleb muszę płacić z drugiej strony oddzielnie, przy czym pieniądze kasuje ta sama osoba do tej samej kasy. No takich porąbanych przepisów to już dawno nie widziałem. Aha, zapomniałem że do tej alkoholowej części nie mają prawa wstępu ani Indianie ani Eskimosi, cholera jeżeli nie wolno im sprzedawać gorzały, to skąd my widzieliśmy właśnie w ich wydaniu tyle pijanych mężczyzn w Fairbanks? Pewnie kupują na mecie.

Ale pomaga mi KaraKhan, ja płacę za gorzałę, on za jedzenie. Przed nami całe 445 mil. Teraz już wiemy dlaczego pomyliliśmy drogę, każdy powinien wiedzieć. Główna droga nie musi być oznaczona, tylko odejścia od niej się oznacza, a Circle to mała Eskimoska osada, niewarta zobaczenia. Bak jest pełny, ruszamy ostro na północ. Deszcz jednak nie przestaje padać, natomiast droga coraz gorsza, ja myślałem że już gorsza od tej, którą właśnie pokonaliśmy, nie może być. Och, jaki człowiek potrafi być naiwny. Droga? Czy takie coś zrobione przez spychacz można nazwać drogą? Wiem, że mam bardzo uważać na potężne trucki, one tutaj mają wszędzie pierwszeństwo. To daje im prawo, i ich masa 100 ton. Już jest pierwszy, co on głupi, o rany Boga, on wali prosto na mnie, gdzie uciekać, prawe koła suną po gliniasto kamiennym poboczu, jejku ja nic nie widzę, szyba jest pomalowana na brązowo. Przejechał, deszcz i spryskiwacz jakoś przywracają widoczność. No teraz już wiem, co to jest uprzywilejowany truck. No, kochani nie z Lajkonikiem takie numery, ja też na moją masę mam potężny silnik, i to ja a nie wy jadę na czterech kołach napędowych.

Jedzie następny, droga jego, ale ja mam specjalne światła, nie darmo dałem za nie 160 dolców. Włączam długie światła, każdy z moich reflektorów daje 185 wat, wiadomo, to go w dzień nie oślepi, ale da mu coś do myślenia, z drogi nie zjeżdżam, ja zdążę uskoczyć, nawet w rów, a on jak to zrobi w ostatniej chwili to z tą 30 metrową naczepą i z tą wagą, jak mur jest na dachu. On chyba myśli to samo, na jakieś pięćdziesiąt metrów przede mną truck uskakuje w prawo, ja nie muszę, to, co on mi dał wystarczy. Bania krzyczy, ale czy to ważne, ja wiem, że mam na nich lekarstwo.

Tą dziurawka zresztą nie da się jechać pomału, najlepiej jechać 120-130 na godzinę, wtedy najmniej trzęsie i rzuca. Przed nami kolumna motorhomów, jejku jak oni jadą, muszę hamować, bo chyba przejadę po ich dachach. Kamienie spod ich kół walą po naszym auciku z częstotliwością stu uderzeń na minutę. Pojawiają się następne czipy na szybie, nie da rady muszę ich wyprzedzić. Z over drive, przerzucam manualnie na drive, gaz do dechy i poszły konie po betonie. Bania zamarła, nic nie mówi, wie pewnie, że teraz to wszystko zależy od auta, no i co tu gadać, ode mnie też. Droga wąska, kolumna składa się chyba z siedmiu motorhomów, a z przeciwka wali truck. Nauka nie idzie w las, lata jazdy w pogotowiu w godzinach szczytu po Warszawie odbierają lęk. Świadomość, że muszę zdążyć dodaje chyba silnikowi mocy a samochodowi skrzydeł.

Uf, udało się, wycieraczki pracują cały czas, zgarniają z szyb potężne kawały błota. Wreszcie przemawia Basia, wiesz co Lajkonik, to było chyba bardzo niepotrzebne. Co mam jej powiedzieć, wiem, że ma trochę racji, a może więcej niż trochę. Jadę nadal szybko, ale już nie tak ryzykancko, zresztą nie ma potrzeby, poznałem już drogę, wiem, że pobocza są tak samo twarde, jak i cała droga. Co tu mówić jednak o poboczach, najgorsze polskie pobocza są sto razy lepsze od środka tutejszej drogi. A droga jest twarda bo po pierwsze jest z kamienia wymieszanego z ziemią, a poza tym to wieczna zmarzlina. A że trucki tak gnają, normalka, to ich sezonowa robota. Tylko około trzech miesięcy pracy w roku. W tym czasie muszą przewieźć jak najwięcej towaru do firm olejowych, do magazynów żywnościowych. Do specjalnych magazynów rządowych, dla wojs-

We fiordach Alaski, w poblizu Sewort, nigdy nie zamarzającej zatoki.

Alaskański busz, ani żywej duszy wokół.

ka i diabli wiedzą jeszcze, gdzie i dla kogo. We wrześniu tutaj już nie pojadą, spadnie śnieg i nikt nie zaryzykuje życia na tych krętych drogach. Tutaj truckowcy ściągają z całych Stanów i Kanady. Tutaj są najlepsze zarobki, 3:75 dolara za milę, normalna dobra stawka to 1:10 za mile. Takie przebicie rany, tylko jeździć. Nawet 24 godziny na dobę. Mają specjalne prawa, różne ulgi, np. 85% off w ubezpieczeniu. Ja rozumiem tych mocnych chłopców, oni chcą zarobić, tak jak kiedyś ci co szukali złota. Pracują ciężko, w miesiącu przejeżdżają średnio 32 tys. mil to daje 1200 mil na dzień, tak na dzień, bo nocy tutaj nie ma.

Cały czas z jednej albo z drugiej naszej strony biegnie rurociąg. Srebrna nitka o średnicy jednego jarda (prawie 1 metr) wije się to z prawa, to z lewa. Wchodzi w szczyty gór, płynie nad bagnami i przełęczami, a my zawsze w pobliżu niej. Jeszcze dwa lata temu ta droga była zamknięta dla normalnego ruchu. Aby na nią wjechać musiało się mieć specjalny pozwolenie, dzisiaj już nie, ale droga nadal jest własnością Alaska Piping Company. Rząd Alaski nie ma nic do tej drogi, taką umowę podpisał którys tam prezydent ponad sto lat temu.

Zbliżamy się do największego drewnianego mostu na tym kontynecie. Przekracza on rzekę, którą już mijaliśmy, jest nią rzeka Jukon. Zaraz za mostem mamy rządowy punkt informacyjny. Wiadomości raczej niewesołe. Deszcz ma padać, dokąd się nie wypada, pogoda ma być taka jaką ześle wielki Monitou, za to wiemy że ryb ma być w tych rzeczkach masę. No chociaż jedno pocieszenie, będziemy mieli na kolację rybę.

Do Arctic Circle jakieś 100-110 mil, to niewiele. Ruszamy, trucki nadal są panami na drodze, ale nikt już na to nie zwraca uwagi, przyzwyczajenie to rozprzężenie. Około siódmej wieczorem meldujemy się na Kole Podbiegunowym. Łezka w oku, może w dwóch. Trzy miesiące temu prawie się nie znaliśmy. Trzy miesiące temu nikt z nas o czymś takim nawet nie śnił, a teraz, teraz my Polacy, my Podwórkowicze jesteśmy na Kole. Banieczka zalicza Koło już po raz drugi, pierwszy raz zaliczyła go w Norwegii, dzisiaj na Alasce. Wszyscy jesteśmy zmęczeni, zmęczeni, ale i szczęsliwi.

Pogoda nie pozwala na robienie zdjęć, obiecujemy je zrobić jutro. Musimy szukać teraz miejsca do spania, jest tutaj pole campingowe, niestety Bania znajduje niedźwiedzie odchody (ale się wyszkolila) i kategorycznie nie zgadza się na nocleg tam. Ja po raz pierwszy jestem wściekły, takie miejsce, wysoko, dobre pod namiot, a cholera z Babami. Jadę jednak, siwy dym, miała rację, jakimś siódmym zmysłem wyniuchała taką kotlinkę nad rzeczką, pole pod namiot wyśmienite.

Palenisko już nawet ktoś wcześniej zrobił. Gdyby nie to, że wiem, że Bania nigdy tu nie była to podejrzewał bym ją o to, że tu już spała. A tak to tylko mogę ją podejrzewać o kontakty z diabłem. Jednak czasami warto Bab słuchać, no może nie wszystkich, ale tę tak. Namiot, (mokry) ogień, kolacja i motorek. Potem wędka i... nic. Ale nie ma się czym martwić, zdobyliśmy dla Podwórka Koło Polarne, to się liczy. Och jak te motorki smakują, gdy już prawie nie ma nic, ja idę spać. Bania i KaraKhan zostają, aby zobaczyć zachód i wschód słońca. Nie widzą niestety ani zachodu ani wschodu. Cały czas jest widno jak w dzień. Jedynie na parę minut przed wschodem robi się trochę szarawo, a potem widzą dwa słońca. Pewnie do dzisiaj nie wiedzą które było prawdziwe a które było odbiciem. Ja już od dawna śpię.

Z przyjaciółmi na prawdziwej północy. Zdobyliśmy ją 7 lipca 1998 roku.

Lajkonik

(*lajkonik@home.com*)

© Wszelkie przedruki do gazet, książek i innych nośników bez zgody Lajkonika, Bani lub Petroniusza są zabronione i chronione prawem.

JEZU, MOJA RĘKA!

97

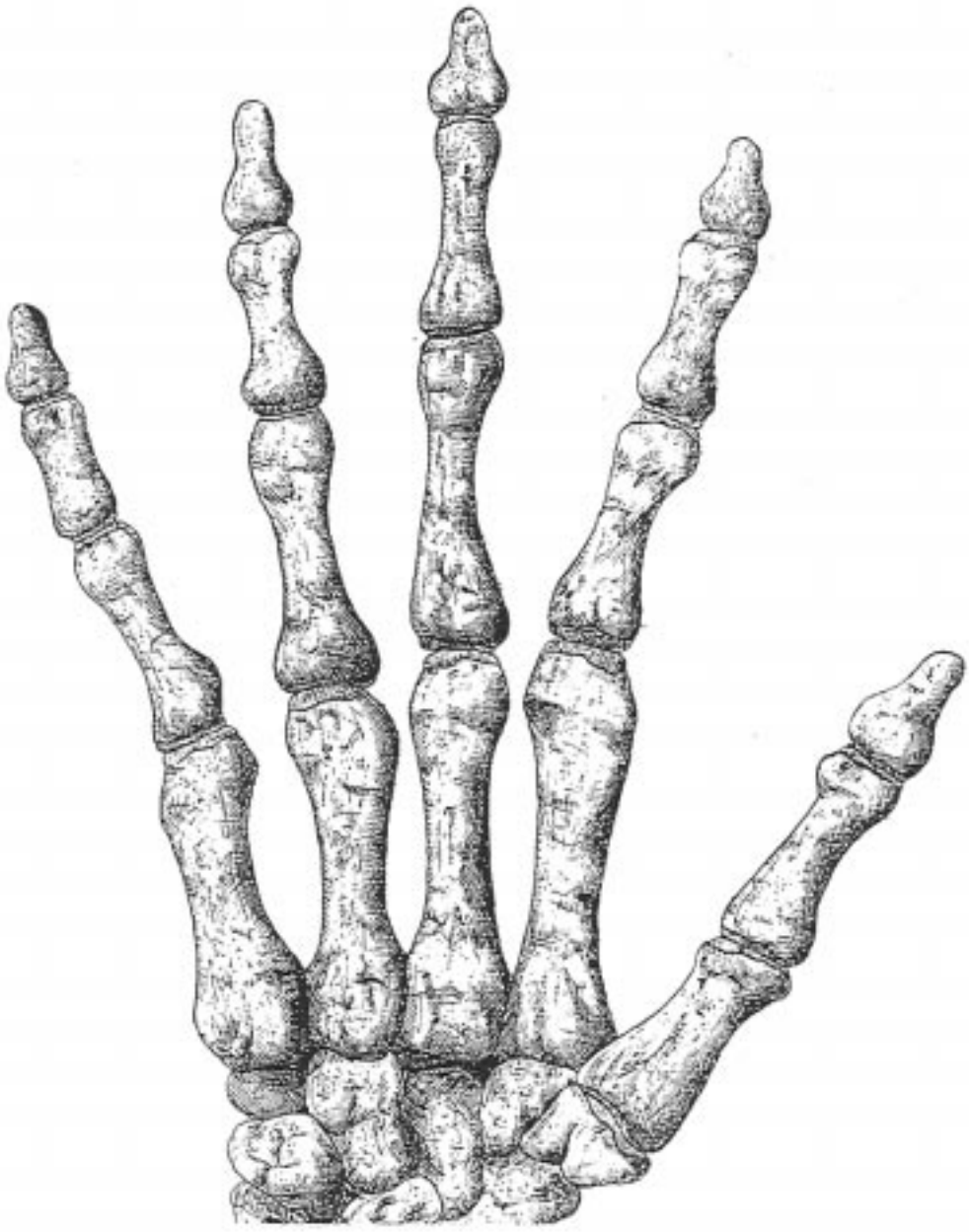

Przechodzień (cz. 2)

Część druga - Do góry

Nie zbudził go świergot ptaków, ani szum budzącego się w oddali miasta. Nie obudził go ani pies, pałętający się pomiędzy krzakami podczas porannego spaceru, ani patrol policji przechadzający się alejkami parku. Nie przerwał mu snu również dotkliwy chłód bijący z głębi rozespanej, ostudzonej nocą ziemi, nie był to też przejmujący powiew wiatru slalomującego między drzewami.

To był szloch dziewczyny.

Początkowo, zaraz po otwarciu powiek, łkanie docierało do niego ze wszystkich stron. Był zdezorientowany otoczeniem, w którym się znajdował, zaskoczony pozycją, w jakiej się przebudził i otumaniony, kołatającym się z tyłu głowy, tępym bólem. Nad nim szumiały drzewa, a jeszcze wyżej błękit nieba spinał rzeczywistość. Po chwili dotarł też do jego uszu śpiew ptaków, dalekie poszczekiwania psów, ale ponad to wszystko przebijał się kobiecy płacz. Spazmatyczny, urywany, nieustanny.

Przekręcił się na bok, a wtedy zza pobliskiego drzewa - pod konarami, którego przyszło dopełnić mu tej dziwnej nocy - wychynęła siedząca na ławce dziewczyna.

Gwałtownie zerwał się na nogi i wolno podszedł do niej.

Siedziała pochylona, z głową zatopioną w dłoniach, z łokciami wspartymi na kolanach. Drżała od bosych, zgrabnych stóp, przez brązowe, długie i szczupłe nogi, krągłe biodra, wąską talię, piersi, których pełni nie śmiał nawet sobie wyobrażać, kształtne ramiona, łabędzią szyję aż po końcówki swych długich, jasnych włosów. Miała na sobie krótką, brązową spódnicę i opinającą ciasno ciało białą bluzkę z wąskim, głębokim dekoltem. Żakiet, również biały, leżał na ziemi - przydeptywała go prawą stopą. Włosy, spięte najwyraźniej pospiesznie, wiły się pomiędzy jej łopatkami, wzdłuż kręgosłupa, by zaraz potem rozsypać się kaskadą, otulając dolne części pleców. Jedną ręką przyciskała do boku czarną, skórzaną damską torebkę.

Zaczął od tego, że podniósł żakiet dziewczyny. Nie zwróciła najmniejszej uwagi, kiedy ostrożnie wysuwał go spod jej stopy. Przez chwilę obracał go w dłoniach, nie bardzo wiedząc, co ma dalej zrobić.

Rozejrzał się, ale dookoła, jak okiem sięgnąć, byli tylko oni; parkowa alejka świeciła pustką. Chrząknął. Raz i drugi, znacznie głośniej, wręcz natrętnie i niekulturalnie. Ale dziewczyna nawet najdrobniejszym ruchem nadal nie zdradziła, że zdaje sobie sprawę z jego obecności. Jej płacz nie narastał, ale też nie gasł. Trwał.

- Upadł pani... - zawahał się. - Upadł ci żakiet.

Dziewczyna nie zareagowała.

- Podniosłem go i... - znowu wahanie - okryję cię nim. Jest chłodno...

Zrobił to delikatnie. Nakładając na jej drżące ramiona i plecy miękki materiał pomyślał, że właśnie teraz powinna zareagować...

Zerwała się na nogi; uderzyła go w szczękę czubkiem głowy, torba wyfrunęła jej spod ręki, żakiet zsunął się, a ona sama odskoczyła w bok, dwa, trzy kroki - na środek alejki.

- Wynoś się - krzyknęła i zamachała histerycznie wokół siebie rękami. - Odejdź! Odwal się! Spierdalaj chuju!

Krzyczała tak przez dłuższą chwilę, niezbyt starannie dobierając przymiotniki i czasowniki, powtarzając się i łamiąc rządzące polskim językiem zasady zgodności przypadków. Emil stał, jak oniemiały. Popatrzył raz jeszcze ku jednemu i drugiemi wylotowi alejki, ale oba wciąż świeciły pustkami.

A dziewczyna krzyczała. Darła się, a jej płacz nie ustawał, wymęczonym ciałem wciąż wstrząsało spazmatyczne drżenie, co w efekcie nadawało jej głosowi szczególnie wibrujący ton. Wysoki, męczący, bezustanny.

Emil włożył ręce w kieszenie. W tym samym momencie dziewczyna osunęła się na kolana, urwała swój monolog, załkała głębiej, raz i drugi, i runęła twarzą na chodnik alejki.

Przestraszony podbiegł do niej. Jej płacz ustał. Przez chwilę obawiał się, że ustało też jej tętno, ale wyczuł, wciąż przyspieszony, lecz stopniowo zwalniający puls. Odwrócił jej bezwładne ciało i spojrzał w twarz anioła. Tak właśnie o niej wtedy pomyślał. Omdlały anioł.

Poszukał dookoła wzrokiem jej butów, a kiedy nie znalazł ich, poszedł po żakiet. Nałożył go na nią; przypominało to ubieranie kukły, i narzuciwszy sobie na ramię jej torbę, delikatnie wsunął pod nią ręcę. Prostując się uniósł ją do góry. Była nadspodziewanie lekka i niemal przelewała mu się przez palce. Wybrał na chybił traf stronę alei i ruszył stanowczym, żwawym krokiem patrząc w twarz niesionej, nieznajomej dziewczyny.

***

W torbie dziewczyny znalazł jej dokumenty, a w nich adres zamieszkania. Zatrzymał taksówkę i pokazał kierowcy dokąd chce jechać; jakoś trudno mu było mówić. Taksówkarz wykazał wielką ochotę do rozmowy - był chyba szczególnie podniecony niecodziennymi pasażerami - zagaił kilka razy, ale Emil uparcie milczał spoglądając kątem oka to na twarz dziewczyny, to znowu na przesuwające się za oknem widoki. Mijane miejsca nadal nic mu nie mówiły.

Kiedy zajechali przed pięciopiętrową kamienicę i Emil bez słowa zapłacił, taksówkarz odprowadził ich tylko jeszcze ciekawskim spojrzeniem. Zaraz potem ruszył ostro, z piskiem opon na mokrym asfalcie.

Emil stanął przed bramą budynku; nazwa ulicy nadal nic mu nie mówiła, nie wydobywała z jego pamięci nawet dzielnicy miasta, a sama kamienica wyglądała, jak dziesiątki innych ciągnących się po obu stronach ulicy. Wszedł w półmrok bramy wciąż z dziewczyną na rękach - teraz już śpiącą - odszukał właściwą klatkę i stromych schodach wspiął się na trzecie piętro. Wreszcie stanął przed drzwiami z numerem widniejącym w dowodzie dziewczyny.

Pamiętał, że w jej torbie natknął się też na klucze; duże, spięte ciężkim metalowym kółkiem z wisiorkiem w kształcie rozwiniętego kwiatu róży. Stojąc przed drzwiami uświadomił sobie, że częściowo podziałały one wtedy na niego uspokajająco, ale teraz postanowił jednak zadzwonić. Nacisnął czołem przycisk.

Zza drzwi dobiegło szuranie. Tak mógł dreptać dopiero co zerwany ze snu mężczyzna, ale w szparze ukazała się pękata twarz starszej kobiety. Zaskoczone spojrzenie opadło na zgiętą sylwetkę dziewczyny, rozmyło się z niedowierzania i zaraz drzwi otworzyły się szerzej. Kobieta przesunęła się pod ścianę, robiąc miejsca w wąskim przedpokoju dla Emila, załamując w dziwacznym geście bezradności ręce.

Jasny, tchnący spokojem i sennością pokój był skąpo umeblowany. Delikatnie złożył dziewczynę na miękkiej kanapie i dopiero wtedy, uwolniony od fizycznego ciężaru, usłyszał głos kobiety.

- Mówiłam. Mówiłam tyle razy, że tak właśnie to się skończy - jej oczy lśniły od łez, powieki drżały, ręce trzęsły. - Mówiłam, że to nie jest normalne robić takie rzeczy. To nie na nasze polskie dziewczyny. Nie z naszych domów...

Emil powiódł wzrokiem dookoła.

- Czym można ją okryć?

Kobieta zamilkła. Machnęła przed sobą dłonią w geście roztargnienia i znikła w przedpokoju. Po chwili pojawiła się ponownie z pachnącym świeżością wełnianym kocem w rękach. Nie przykryła jednak dziewczyny sama; podała go Emilowi. Popatrzyła jeszcze, jak chłopak ostrożnie okrywa leżącą i poruszyła się, jakby nagle sobie o czymś przypomniała.

- Pójdę już. I tak zostałam dłużej, niż zwykle.

Wyszła z pokoju zaskakująco szybkim krokiem, zaraz potem mignęła w drzwiach, gotowa do wyjścia, rzuciła krótkie, pospieszne pożegnanie, a nie doczekawszy się odpowiedzi odwróconego plecami Emila, westchnęła i ruszyła do drzwi. Nacisnęła klamkę i zwolniła ją w powolnym ruchy, coś sobie przypominając. Odwróciła się.

- Mała teraz śpi. Jadła - rzuciła.

Znikła nim Emil zdążył się na nią spojrzeć.

Dopiero po dłuższej chwili wpatrywania się w zamknięte drzwi dotarł do niego sens usłyszanych słów. Wraz z tym przyszło skamienienie ogarniające go od wewnątrz, sprawiające, że krew z oporem znajdowała miejsce w coraz twardszym materiale ciała. Aż nagle, jak skruszony na pył najtwardszy głaz, tak i on się rozpadł, otworzył na otaczające go życie.

Zewsząd dobiegały odgłosy powracania do życia po nocnym umieraniu, tak zróżnicowane i niewiarygodne, jakie było tylko samo miasto. Strzępy rozmów spokojnych i nerwowych, wysokie piski zbudzonych czajników, terkot budzików gwałtownie odzywających się i milknących, szum spłuczek i pryszniców, trzaskania szafek, drzwi i okien, buczenie uruchamianych silników. Jednak strumień, który dominował w tej kaskadzie był bardziej wyczuwalny, niż słyszalny, zaskakująco bliski i jednocześnie odległy, nieakceptowalny. Przyciągał go, wołał samą niesamowitością odkrycia.

Emil przeszedł do wygiętego w kształcie litery L przed-

pokoju, zamknął wejściowe drzwi od wewnątrz i wrócił do pokoju, w którym spała dziewczyna. Jej łagodne, rozluźnione rysy doskonale komponowały się z miękkością koca i liniami kanapy. Z trudem oderwał od nich wzrok i rozejrzał się. Pierwsze spojrzenie padło na półprzymknięte drzwi w ścianie po lewej, zza których sączył się ów niebywały strumień. Podszedł do nich powoli i pchnął je lekko. Otworzyły się chętnie, miękko i zapraszająco, a strumień zamienił się w rzekę.

Bez wątpienia był to pokój dziecinny. Mniejszy niż poprzedni, jasny i przepełniony radością, o trudnym do określenia źródle. Tu i ówdzie leżały zabawki; pluszowe misie, składane pajacyki, fragmenty puzzli, a w rogu stało cicho dziecięce łóżko - tam strumień brał swój początek.

Nie miał pojęcia, ile lat mogła mieć. Wiek małych dzieci był dla niego nieodgadniony; nie rozumiał, po czym można go było określić. Według Emila mogła mieć rok lub dwa, choć również znacznie więcej, ale raczej nie mniej. Lekko kręcone, jeszcze jaśniejsze, niż dziewczyny włosy sięgały pewnie ramion, drobne rączki ułożone na kolorowej kołderce, delikatnie wycięte ustka o barwie głębokiej czerwieni. I oczy. Niebieskie i duże, które ujrzał tuż po tym, jak, nie bardzo zdając sobie z tego sprawę, pogładził jej główkę.

Te oczy wpatrywały się w niego z zadziwiającą ufnością, tak elementarną i dziecięcą, że bezwiednie drugą ręka poprawił okrycie małej. Delikatnie pogładził raz jeszcze jej włosy. Patrzyła wciąż na niego, zakotwiczyła w nim wzrok, nie odrywając go od niego nawet na moment i przez chwilę Emil poczuł, że wpada w panikę. Chciał, żeby zasnęła. Zamknęła oczy i pozwoliła mu stąd wyjść. Potrzebował tego, lecz nie umiał zostawić jej w ten sposób. Wydawało się, że mała nawet nie mruga powiekami, tak silne wrażenie musiał na niej sprawiać. Uśmiechnął się, tak szczerze i czysto, jak tylko potrafił, ale ona tylko patrzyła. Powoli pochylił się nad nią, podczas kiedy ona lekko przenosiła spojrzenie za jego ruchem i złożył na jej czole długi, ciepły pocałunek. Nie widział jej niebieskich oczu, ale niemal fizycznie odczuł ruch powiek, jako delikatne tchnienie wiatru w podbródek.

Stojąc już w drzwiach popatrzył raz jeszcze na łóżeczko, zabawki i okno, za którym słońce już nie próżnowało. Ostrożnie przymknął drzwi.

W dużym pokoju przystanął obok kanapy ze śpiącą spokojnie dziewczyną. Były do siebie tak podobne. Równie piękne, jasne, czyste, niewinne... Usiłował znaleźć jakieś jedno słowo, te jedno właściwe, które oddawałoby ich cechę podobieństwa. Bezskutecznie.

Stał od niej w odległości wyciągniętej dłoni, ale czuł, że dzieli ich znacznie więcej. Dystans nie do określenia, niemierzalny nawet w skali astronomicznych wielkości, niewyobrażalny, przyprawiający o zawrót głowy, jak widok rozwierającej się pod nogami, ciągnącej chłodem i lękiem, przepaści o niewidocznym dnie. Bijący chłód miał w sobie jednak coś z ciepłego prądu, a lęk w rzeczywistości nie tyle napawał, co intrygował. Zamknął na moment oczy - może był to naturalny odruch obronny - i ze zdumieniem stwierdził, że widzi ją nadal. Obraz gubił na obrzeżach szczegóły, ale jej twarz, znajdująca się w centrum, była dokładna w najdrobniejszych szczegółach, jakie do tej pory zdążył zarejestrować; delikatna linia brwi, wygładzone czoło, lekko zadarty nosek, wąskie, wręcz spartańskie usta i nieco zaróżowione policzki.

Odwrócił się wciąż z zamkniętymi oczami, powoli otworzył je i ruszył ku drzwiom. Stojąc już na klatce przyłożył ucho do drzwi, ale odpowiedziała mu cisza. Odetchnął i ruszył po schodach w dół.

ciąg dalszy nastąpi

Artur Długosz

(*arti@valetz.art.pl*)

Pytania ostateczne

Przekleństwem człowieka jest to, że musi myśleć.

Zwierzęta też jakoś myślą. Zwłaszcza wyżej rozwiniętym ssakom trudno odmówić sporej dozy tej umiejętności. Patrząc na ich zachowanie często używamy takich antropomorfizujących zwrotów: "o, jak to sobie zmyślnie radzi, jak inteligentnie postępuje". Jednak owo myślenie zwierząt wspomagane przez wrodzone i genetycznie zdeterminowane instynkty obraca się głównie wokół podstawowych problemów przetrwania – zdobywania pożywienia, obrony przed naturalnym wrogiem, wyszukiwania partnera seksualnego, ochrony potomstwa. Ich mózg jedynie wspomaga poczynania wynikające z instynktów, czyni je skuteczniejszymi. Innych problemów rozwiązywać nie musi. Wprawdzie poddane odpowiedniej tresurze zwierzę potrafi zadziwiać nas nabytymi umiejętnościami - znane są tu na przykład możliwości psów, delfinów czy niektórych małp - wiadomo jednak, że pewnego elementarnego nawet pułapu myślenia abstrakcyjnego nie są one w stanie przekroczyć.

Coś osobliwego zaszło przed setkami tysięcy lat w świecie ssaków naczelnych. Nie potrafimy jeszcze dziś dokładnie odtworzyć całego splotu uwarunkowań, które doprowadziły do wyłonienia się homo sapiens, faktem jest jednak bezspornym, że sita ewolucji odcedziły tak dziwną własność mózgu jak nasza zdolność myślenia.

Zapewne pierwotny człowiek paleolitu robił ze swego mózgu podobny użytek, jak inne ssaki naczelne - to znaczy kombinował, jak tu przetrwać i zachować gatunek. Stopniowo jednak, rozglądając się wokół siebie zaczął coraz lepiej poznawać otaczający go świat, zaczął się nad nim zastanawiać, analizować, stawiać pytania i poszukiwać odpowiedzi. Jednym słowem zaczął myśleć. Różny użytek z tego myślenia robiono w dziejach ludzkich, czasem wspaniały a czasem wręcz okropny. Księgi by można o tym napisać (już zresztą napisano). Ja chciałbym tu na moment zatrzymać się przy jednej z własności naszego myślenia - jest nią zaciekawienie otaczającym światem. To z niego wzięła się nauka - w tym nauki przyrodnicze - oraz filozofia.

Często pisząc o historii nauki lub filozofii używa się patetycznych zwrotów w rodzaju: "już od zarania dziejów ludzkość interesowały problemy...". Od zarania dziejów do czasów obecnych zdecydowaną większość ludzkości interesowały problemy od nauki i filozofii raczej odległe. Rozważania filozoficzne i naukowe były głównym zajęciem stosunkowo nielicznej grupy ludzi. Nie znaczy to jednak, że całej reszty tak absolutnie nic one nie obchodziły. Owszem, obchodziły, tyle że nie na codzień. Jeśli tylko zwykłego człowieka nie przygniatały całkiem do ziemi troski o byt podstawowy, to od czasu do czasu nachodziła go taka potrzeba dowiedzenia się czegoś więcej o świecie. Nachodziły pytania jak to w tym świecie wszystko funkcjonuje i dlaczego, a także pytania zupełnie fundamentalne o sens tego wszystkiego oraz o miejsce i przeznaczenie człowieka. I tu oczekiwano gotowych odpowiedzi od tych, dla których rozważania tego typu problemów były głównym zajęciem, gdyż byli odpowiednio wykształceni i przygotowani. To oni więc, ci nieliczni, byli twórcami systemów filozoficznych i religijnych oraz nauk przyrodniczych. I mimo, że często wynosili się dumnie ponad resztę "motłochu", to tak właściwie pełnili również służebną wobec niego rolę. Tolerowani i utrzymywani zawdzięczali swą pozycję temu, że na wytwory ich rozmyślań istniało pewne zapotrzebowanie. Starali się więc to zapotrzebowanie spełniać. Historia kultur dostarcza nam całego spektrum różnych systemów religijnych i filozoficznych opisujących różne aspekty świata, miejsce człowieka w nim oraz nasze przeznaczenie. Ta mnogość ofert może być wręcz niepokojąca. Skoro bowiem tych propozycji jest aż tyle to znaczy, że chyba żadna z nich nie jest w stanie usatysfakcjonować wszystkich. Zwykle z powodu urodzenia się i wychowania w określonym kręgu kulturowym jesteśmy szczególnie przywiązani do obowiązującego lub dominującego w nim systemu filozoficznego i religijnego. Dziś jednak, przy postępującej globalizacji i przenikaniu się kultur trudno być całkiem głuchym na inne propozycje.

z cyklu "dramaty ludzkiego myślenia"

Do tej szerokiej oferty różnych religii i filozofii dołączyła w ostatnich stuleciach nauka i to dołączyła skutecznie, rzec można przebojowo. Wśród elit intelektualnych XVIII i XIX wieku rozpowszechniać się zaczął pogląd, że tylko wyniki badań nauk przyrodniczych dadzą satysfakcjonującą i ostateczną odpowiedź na pytania zastrzeżone dotąd dla religii lub filozofii - a więc skąd się wziął Wszechświat i jakie prawa nim rządzą, jaka będzie jego przyszłość, po co on wogóle istnieje, kim jest w tym świecie człowiek i jaki sens ma jego bytowanie. Ten oświeceniowy optymizm zaczął jakby przygasać zwłaszcza w ostatnich dziesięcioleciach. To może wydawać się paradoksalne, gdyż właśnie w XX wieku nauki przyrodnicze odnotowały najwięcej osiągnięć w poznawaniu praw przyrody. Jednocześnie jednak nauka zaczęła mówić językiem trudnym, nieprzyswajalnym dla szerokiego odbiorcy, który oczekuje na nurtujące go pytania odpowiedzi jasnych i jednoznacznych. Daje się zauważyć jakby pewne wyalienowanie nauki, mimo że tyle jej wynalazków wchodzi do codziennego użytku.

Nauka dostarczyła nam już dużo nowej wiedzy o prawach rządzących światem. Nie ma jednak pewności, czy istnieje jakiś skończony zbiór praw fundamentalnych, jakaś fundamentalna ogólna teoria wszystkiego, która ostatecznie w jednym zwartym schemacie logicznym zawrze wszystkie własności materii oraz całe bogactwo jej ewolucji. Zaczyna się powątpiewać, czy taka superteoria jest w ogóle możliwa. Słynne twierdzenie Goedla dotyczące zupełności i niesprzeczności systemów aksjomatycznych jest tylko jednym z powodów tego pesymizmu. Co się zaś tyczy tzw. pytań ostatecznych o sens istnienia świata i naszych w nim poczynań, to tu nauki przyrodnicze odmawiają zupełnie odpowiedzi odsyłając na powrót do filozofii i religii, a więc do całego mrowia propozycji oferowanych przez nie.

Czyżby więc miało się okazać, że umysły nasze wyprodukowały pytania, na które nigdy nie znajdą odpowiedzi? I cóż z tego, że zdaniem niektórych są to pytania źle postawione i stąd problemy z odpowiedzią. One dla większości z nas realnie istnieją i czasem uwierają jak przysłowiowy gwóźdź w bucie. A może to cena, jaką płacimy za wyjście ze świata zwierząt?

Nasuwa mi się czasem takie skojarzenie z biblijną metaforą o wygnaniu człowieka z raju za zjedzenie owocu z drzewa mądrości. Czy australopitek lub sinantropus żyli jeszcze w raju zwierząt nie nękani przez pytania fundamentalne? Który z naszych praprzodków sięgnął po to zdradliwe jabłko i zaczął myśleć po ludzku? Może nie należało tego robić, a jeśli już to najeść się tego owocu mądrości do syta, tak by starczyło człowiekowi rozumu dla ogarnięcia całej złożoności świata. Wygląda na to, że nasze zdolności intelektualne wystarczają akurat na stawianie pewnych pytań, są jednak zbyt skromne na znalezienie wszystkich odpowiedzi. I to jest chyba podstawowy dramat ludzkiego myślenia.

Ewolucja życia na Ziemi trwa już od dwóch lub trzech miliardów lat, a człowiek ze swoim mózgiem należy do jej najmłodszych wytworów. Jednak nasz układ planetarny ma jeszcze przed sobą kilka następnych miliardów lat istnienia. Patrząc z tej perspektywy trudno chyba przyjąć, że na naszym gatunku proces ewolucji życia - w tym ewolucji rozumu - zakończy się. Nie wykluczone, że to sam człowiek majstrując przy inżynierii genetycznej uruchomi całkiem nowe kierunki tej ewolucji i doprowadzi - świadomie lub nie - do wyłonienia się gatunków tak intelektualnie od nas różnych i dalekich jak my dalecy jesteśmy od małp czy delfinów. Może więc to nie naszemu gatunkowi - dumnie nazywającemu siebie homo sapiens - dane będzie znalezienie odpowiedzi na pytania, które my zdołaliśmy jedynie postawić. Ale czy wtedy nie powstaną następne pytania, których my nie jesteśmy w stanie nawet sobie wyobrazić?

Jerzy Sikorski

(*fizjks@iftia.univ.gda.pl*)

Aleskander Jasiński & Artur Długosz
Indianin, który nigdy nie wybaczył białym
NIETYPOWA ROBOTA
POSZUKIWANY
TYLKO
i
WYŁĄCZNIE
ŻYWY
DO
PRACY w
KOMIKSIE
Teraz kolei na mnie! Będę w komiksie i pokażę tym wszystkim szeryfom, co to znaczy trafić na przebiegłego przeciwnika.
Biali przynieśli na nasze ziemie zło, krzywdę, cierpienie i wreszcie śmierć.

Do rzeczy pupaprańcu! Chcesz mnie zabić, czy tylko potrzebujesz pogawędki?
Chce równowartość tego, co wy zabraliście nam.
Wszystko, co najcenniejsze.
A więc życie. A mogę mieć do ciebie prośbę, czerwony bracie?
Nie nazywaj mnie tak! Dla ciebie jestem Czerwoną Śmiercią!
?!
Mów o co chodzi.
Widzisz, mam pod kurtką coś, co starowi dla mnie bezcenny skarb...
Ty mnie zaraz zabijesz i chciałbym cię prosić, czy nie mógłbyś tego dostarczyć...
Co to takiego?
To możliwość wzięcia udziału w komiksie.
A co to dla ciebie znaczy?
Wszystko. Będę lubiany, znany. Będę symbolem męskości i siły...
W takim razie muszę ci to zabrać.
Nie zabijesz mnie? Przynajmniej mnie odwiąż...
Sępy miałyby utrudnioną robotę.

Miasteczko na Dzikim Zachodzie
Ostatni sprawiedliwy
Mam dość twoich metod. Prawo to jedno, ale stosowanie własnej jego wersji, to juz bezprawie. A właśnie z tym walczymy, nieprawdaz?
O co ci chodzi Watters? Przecież ten drań rozwalił by każdego, ja zdecydowałem się tylko na przestrzelenie kolana.
Kolan! Gwoli ścisłości.
To tak na wszelki wypadek.
Właśnie o to mi chodzi! Nie możesz zabijać ludzi!
Zaliczasz tego typa do ludzi? Czy ja też do nich w takim razie do nich należę?
Ty niczego nie rozumiesz! A ja myślałem, ze krążące o tobie opowieści, to plotki...
A co słyszałeś?
Na przykład to, ze niewiele różnisz się od mordercy.
Zgadza się. Odróżniają mnie tylko ofiary.
Mam coś, co cię z pewnością zainteresuje. To...
... zresztą przeczytaj sam.
Co to jest... komiks?
OK. Biorę to.
To miejsce, w którym walczysz z bezprawiem własnymi metodami, bo inne zawodzą...
Tak właśnie wygląda ostatni sprawiedliwy człowiek na zdeprawowanym Dzikim Zachodzie.
Człowiek, który poświęcił honor i dobre imię w walce w bezprawiem. Jedni mówią o nim Łapacz, inni Od Coffinshot. Tak naprawdę nazywa się... zresztą, czy to ważne.
cdn.

O pilocie, który spadł na psy

Eskadra bombowców zbliżała się do celu. Na ziemi ogłoszono alarm. Ulice miasteczka opustoszały i tylko żołnierze uwijali się gorączkowo na rogatkach miasta, wokół stanowisk dział obrony przeciwlotniczej.

Coraz głośniejszy warkot maszyn potęgowało upiorne wycie syren. Lufy sterczące w niebo śledziły majestatyczny ruch samolotów. Celowniczy czekali na komendę odliczając czas biciem własnych serc napompowanych adrenaliną.

Pilot Zenon S., dowódca eskadry, widział już kominy fabryki, z mikrofonem walkie-talkie w dłoni śledził wskaźniki. Kilometr, dziewięćset, osiemset metrów... Do wydania rozkazu pozostało już kilka sekund, kiedy struga pomarańczowych kresek zetknęła się z kadłubem maszyny.

- Jezus Mariaaa!!! - usłyszał jeszcze krzyk bombardiera. - Rąbnęli nas!

Samolotem wstrząsnęło, kłęby gęstego dymu uniemożliwiły widoczność, stery przestały reagować. W następnej sekundzie potężna eksplozja oderwała prawy silnik z kawałkiem skrzydła. Samolot pikował bezwładnie, nabierając prędkości, potem wpadł w jakiś dziwny wirowy ruch, jak nasionko klonowca na wietrze.

- Wyskakiwać! Katapultować się! - Zenek usłyszał własny krzyk.

Zaraz potem następny wybuch rozerwał maszynę na setki drobnych kawałków, wśród fantastycznych fajerwerków.

Zenkowi świadomość przywróciło silne szarpnięcie czaszy spadochronu. Gdzieś w oddali terkotały karabiny, powietrzem wstrząsały detonacje, pięćset metrów niżej miasto stało w płomieniach.

- Ja żyję - pomyślał Zenek, nadal nieświadomie pociągając linkę otwierającą spadochron.

Nie przeżył nikt inny z załogi samolotu. Jedynie Zenkowi spadochron opadał powoli pchany bocznym wiatrem, z dala od płonącego miasteczka i kilkudziesięciu samolotów lżejszych o kilkaset ton bomb. Jakiś czas potem Zenio spadł na pobliskie pastwisko, prosto w stado przestraszonych owiec. Przykryła go czasza spadochronu.

- Naprawdę przeżyłem - pomyślał wyczołgując się spod płachty materiału.

Niestety Zenek miał pecha!

Psy pasterskie pilnujące owiec, rozszarpały go w ciągu kilku minut, nie oszczędzając nawet zbryzganej krwią czaszy spadochronu. Zenio został odznaczony pośmiertnie medalem pierwszej klasy. Rodzice Zenona S. otrzymali krótki liścik ze Sztabu Generalnego: W dniu ... Państwa syn zginął bohaterską śmiercią w obronie ojczyzny,... Cześć Jego Pamięci!

P.S.

Psy pasterskie nie brały udziału w wojnie.

Artur Marach

(*krisza_@friko6.onet.pl*)

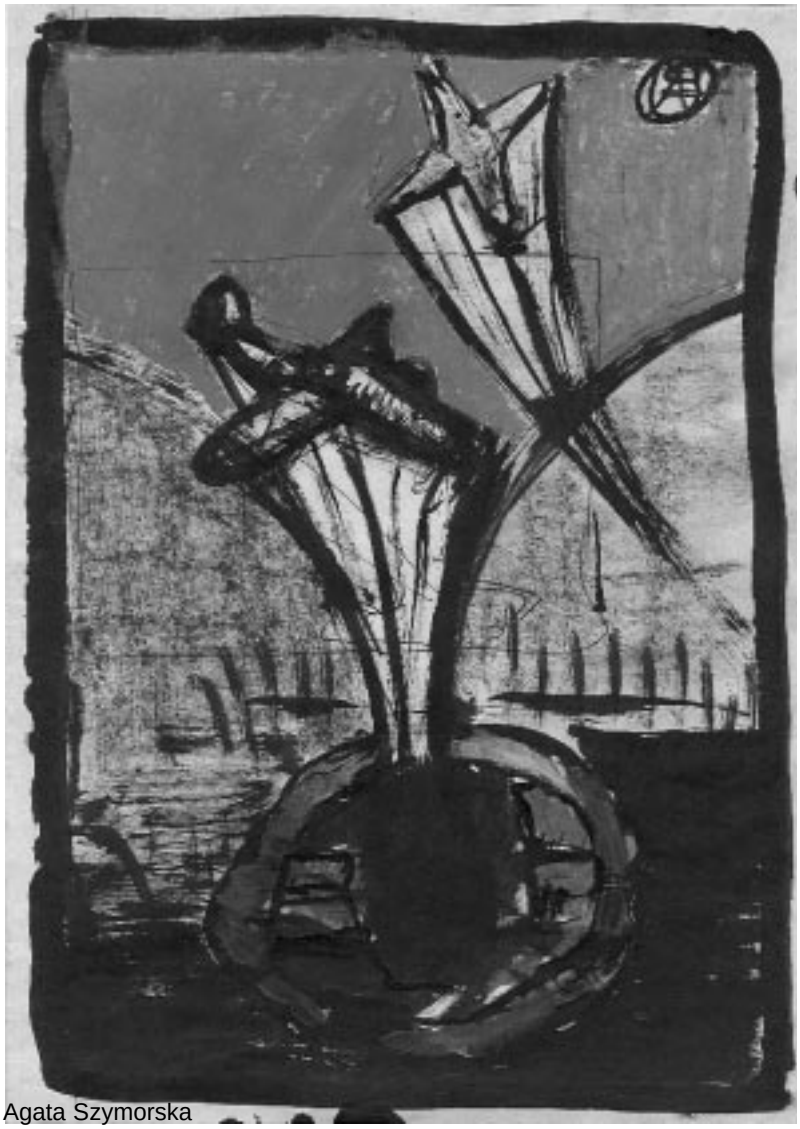

Agata Szymorska

wewnątrz

W twojej duszy
pośród krat moralności
siedzi Diabeł.

W twojej duszy
pośród krat moralności
Diabeł modli się.

Zimne pręty
twojej moralności
wycisnęły na nim piętno.

W twojej duszy
pośród krat moralności
nie ma już nikogo.

Nawet Diabła,
bowiem Jego modlitwa
została wysłuchana.

92.11.27

Joanna Mazur

róża

z dala od siebie stopy bacznie stawiam
bo oto pode mną leży róża
kolce jej wyłamane zdążyły skruszeć
wydarte z drobnego ciała
kwiat o zmierzwionych płatkach jak czupryna dziecka
przesiąkniętych bólem i brudem
przycupnął niepostrzeżenie na krawędzi świata
krawędzi płyty chodnikowej

siadam i ja straciwszy kolejny element zdrowia
z bliska wygląda jeszcze gorzej
nie śmiem zagadnąć a róża głowę chowa
dostrzegam piekącą barwę wstydu
nagle jej ciało łodyga prężnieje w spazmie walki
zdeptane liście chciwie pną się ku światłu
a kwiat dotąd przywiędły do ziemi podrywa się w górę
mocno wierzyć zaczynam w duchu ja dopinguję

to niemal słychać jak życie w niej bulgoce
wrze cała struktura organizmu
taka dumna piękna i czerwona na świat stroszy kolce
choć z ran po nich wypływa woda
sterczę koło niej jak współwinny jej losu
tylko pomruki wychodzą z mego gardła
a róża nadal się zmaga i widać jak powoli słabnie
uciekam wzrokiem lecz patrzy wprost na mnie

kiedy upada podsuwam pod nią złączone dłonie
ląduje miękko amortyzuję jej upadek
pręży raz jeszcze swoje ciało gdy ból ją dostaje
kuli się w kłębek nieruchomieje i zamiera
z troską przytulam ją do siebie pod kurtkę wkładam
chyba nie słyszę bicia jej serca
szepczę coś płacząc staram się przydać
dziękuje głaszcząc me usta kwiatem

94.01

wieczorem...

wieczorem siadam w fotelu
którego wcale w mym pokoju nie ma
wieczorem fajkę w zębach mielę
choć niepalącym jestem od dziecka
wieczorem kota na kolanach głaszczę
choć pies u stóp mych wiernie czuwa
wieczorem dłońmi światy kreuje
w tych światach zło nie zwycięża
wieczorem w sferze ciszy umieram
wskrzeszą mnie odgłosy poranka

93.06

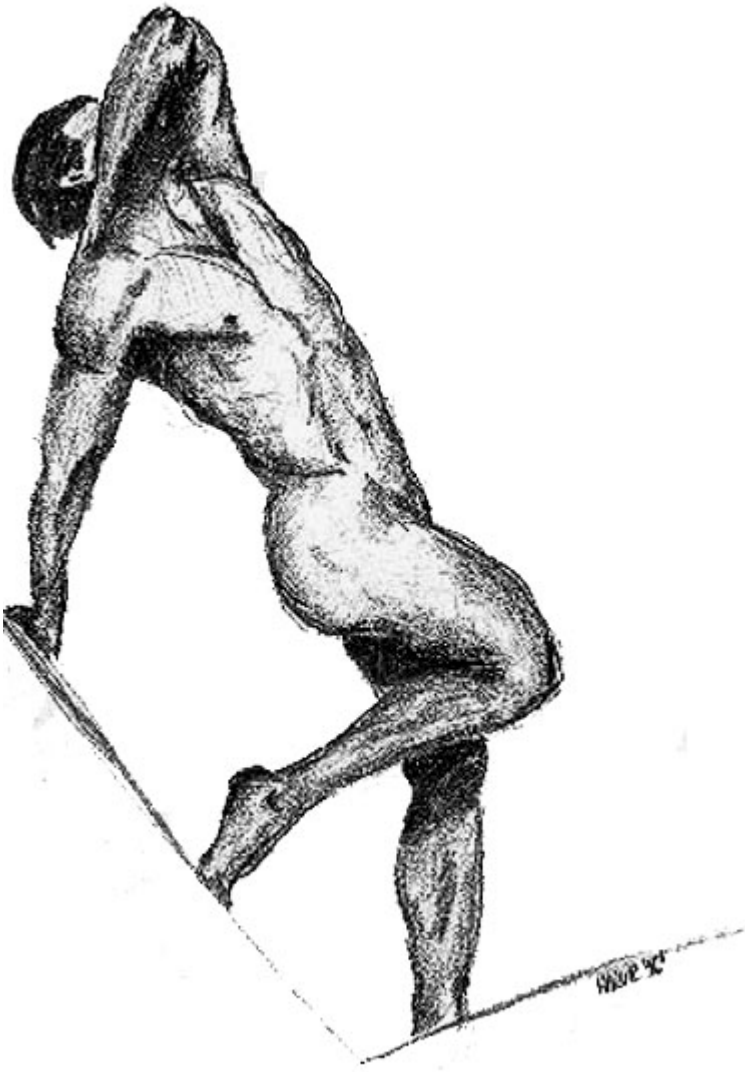

Joanna Mazur

Dom wariata

byłem wczoraj u wariata
zawiódł mnie tam wczesnym rankiem
po nocy spędzonej
nad kadzią taniego wina

na drzwiach krzyż
na krzyżu człowiek
wariat napotyka
me pełne zdziwienia spojrzenie
To Judasz
wyjaśnia uśmiechając się pomysłowo

w korytarzu łapię się za gardło
białka pęcznieją z oczodołów
a w przełyk ktoś wbija mi pal
wariat spogląda na me męki
zupełnie normalnie i mówi
To ozon Chroni przed ultrafioletem

popycha mnie przodem
Kolej na salon
sam nie wiem jak tam dojdę

spotyka mnie istna niespodzianka
pokój urządzony w dobrym stylu
nie widać tu nic co świadczyłoby
o braku właścicielowi którejkolwiek klepki
a jednak nie zawodzę się na nim
wchodzę w głąb pomieszczenia
i ze wszystkich stron tryskają na mnie
fontanny wody i piany
odwracam się z błagalnym spojrzeniem
Pańska temperatura była wyższa niż otoczenia
wariat bezradnie rozkłada ręce

podaje ciepły ręcznik frotte i szlafrok
Proszę, niech pan się przebierze i wytrze
Nie tu
dodaje widząc me wahanie
W łazience

O NIE, CO TO, TO NIE
NIE WEJDĘ TAM ZA NIC W ŚWIECIE

I kto tu jest wariatem
wariat bezwładnie siada na krześle

93.06.27

Zlot Maniaków

Reportaż z IX Konwentu Komiksu w Łodzi

Łódzki konwent ściąga zawsze rzesze najbardziej zagorzałych fanów komiksu. W tym roku było ich znowu więcej, chociaż wcale nie wiem, czy mnie to cieszy. Zaczęło się jak zwykle o 10.15 otwarciem giełdy komiksu. W tym roku nikt nie mógł być zawiedziony, pod warunkiem , że był odpowiedni wyposażony finansowo. U wystawiających można było kupić wszelkiego rodzaju wydawnictwa. Od najstarszych klasyków komiksu polskiego (np.: Czterej pancerni i pies z rysunkami Szymona Kobylińskiego za jedyne 300 zł) przez całą masę rodzimych fanzinów (KKK, AQQ, Azbest..) i nie wydane w Polsce komiksy Grzegorza Rosińskiego wraz z tłumaczeniami, aż po najnowsze tytuły komiksów wydawanych na zachodzie.

Mimo dość dużej sali przeznaczonej na giełdę , szybko zrobiło się tam tłoczno i duszno. Pobiegłem więc zaliczyć następny punkt programu, czyli promocję książki Jerzego Szyłaka ? „Komiks - świat przerysowany". I tu niespodzianka , w spotkaniu z autorem wzięło udział 10 osób, a książka naprawdę jest w znakomita i każdy komiksomaniak powinien ją mieć na półce obok swojego ulubionego super herosa. Większym zainteresowaniem cieszyło się uroczyste otwarcie konwentu , chociaż oprócz tego kto jest sponsorem nie dowiedzieliśmy się na nim niczego ciekawego.

Głównym pretekstem do organizowania konwentu, jest konkurs na krótka formę komiksową. Co roku uważałem wystawę prac zgłoszonych na konwent za największą atrakcję całej imprezy. Tym razem się zawiodłem. W natłoku prac (120 uczestników zgłosiło 250 prac) zabrakło oryginalności i twórczego natchnienia. Większość wyglądała jak przerysowane prace Mike M. lub Simona S.. Było to dosyć żenujące.

Zdecydowanie ciekawiej prezentowała się wystawa „Współczesny komiks polski 1991-1997". Można było na niej zobaczyć jak wygląda aktualnie profesjonalny rynek komiksowy w Polsce.

Swoją wizytę na pierwszego dnia konwentu zakończyłem na spotkaniu z Papciem Chmielem. Ostatni bardzo wyeksploatowany wielkim „come backiem" Papcio nadal prezentuje się dobrze i już nie mówi , że ta księga była ostatnia. Dowiedziałem się , że Tytus się żeni (sic!) , ciekawe tylko z kim.

Drugiego dnia całkiem nowa rzecz na konwencie. Dzień mangi. Podejrzewam za sprawą tego japońskiego gatunku komiksu, do Łódzkiego Domu Kultury zawitało wiele nastoletnich dziewcząt. Jednak zdecydowana większość zwiedzających tego dnia wykazywała zainteresowanie historiami na ekranie niż na papierze.

Moje własne spostrzeżenie związane z IX Ogólnopolskim Konwentem Komiksu: fanów przybywa tylko nie bardzo wiedzą czego są fanami , bo na polskim rynku niewiele znajdą dla siebie pozycji, a jak już im się uda coś znaleźć, to na bardzo mizernym poziomie. I taka była większość odwiedzających to miejsce w tym roku.

Olaf Pierzak (AYLA)

(*komiks@webmedia.pl*)

Mroczniejsze momenty dorastania

Niniejszy tekst jest wynikiem wymiany zdań pomiędzy mną, a moim bratem, która nastąpiła dziś, podczas pieszej wędrówki do Sopotu. Komuś może wydać się niesmaczny lub nawet wulgarny, według mnie zaś jest bardzo romantyczny

Wróćmy do czasów, kiedy masz te kilkanaście (np 16) lat i czas liczysz wciąż do tego wielkiego momentu, a nie od. Jest rok szkolny, beznamiętny i nic nadzwyczajnego nie przydażyło się od dobrych kilku miesięcy, a ty, wielki romantyk myślisz o tej nieistniejącej, rozglądasz się niecierpliwie wokół i tęsknisz ślepo. I nagle... łup! Jest! Cały czas była w pobliżu i zastanawiasz się, dlaczego Jej wcześniej nie widziałeś. Następuje charakterystyczne mrowienie, zapieranie tchu w piersi od czasu do czasu, zamazywanie się Jej twarzy w twojej pamięci. Czasem wydaje ci się (i być może masz rację), że i Ona ci się przygląda. Często odpływasz w myślach i jesteś ciągle jakby nieobecny duchem, a Ona oczywiście jest piękna i nieskazitelna.

Niedługo potem następuje przełom i nawiązujecie kontakt. Odbywa się to albo romantycznie (po długiej walce z sobą podchodzisz do niej i walisz coś w stylu "Eee...jestem Krzysiek... muszę lecieć bo zaczyna mi się gegra...") albo nieromantycznie (na imprezie szkolnej przy pomocy dwunastu Specjali) - mniejsza o to. Ważne, że to wystarcza abyś i ty wpadł jej w oko. Odprowadzasz ją dokądś, idziecie do kina, rozmowa się nie klei i nie będzie jeszcze przez kilka tygodni conajmniej, ale Ona wpatruje się w ciebie błogo, a tobie serce wyskakuje wieczorami z piersi. Do czego zmierzam, otóż wcześniej czy później idziesz pierwszy raz ją odwiedzić.

Nie muszę pisać, że nieźle peniasz przed drzwiami. Ale wchodzisz, witasz się i siadasz w drugim kącie pokoju. Zaraz też dostajesz herbatkę. Rozmowa wciąż się nie klei, ale trzeba ją utrzymać, bo cisza jest jeszcze boleśnie niezręczna. Cóż robisz, kiedy urwie ci się wątek? Zapijasz zbawienną herbatkę, zbierasz myśli i kontynuujesz.

Jest cudownie, Ona jest cudowna, mijają godziny, a ty popijasz kolejną i kolejną herbatkę czekając wciąż na odpowiedni moment, aby zacząć mówić te wszystkie wielkie rzeczy, które chodzą ci po głowie i aby ('Nigdy się na to nie zdobędę!') ją pocałować.

Niestety, nim to następuje, padasz ofiarą brutalnego spisku herbatkowego. Zakładasz nogę na nogę, zaciskasz zęby i ciągniesz dalej swoją opowieść, jakby nigdy nic. Twoja klęska jest niestety nieuchronna: przywiązany do tratwy, bez możliwości ruchu, dopływasz właśnie do Niagary. Po chwili nie możesz już myśleć o niczym innym, jak o białej, porcelanowej muszli i wielkiej uldze, która cię tam czeka. Widzisz siebie, jak wstajesz, wychodzisz i zaraz jest po wszystkim. Ale wyjść do kibelka, tu i teraz ?! Przy Niej?! Wpadasz w panikę. Mógłbyś pożegnać się i udać do domu zahaczając o pierwszą roślinę niewidoczną z jej okna, ale... co wówczas straciłbyś? Ten wieczór nie skończyłby się tak jak miał.

Potrzeba ci męskiej decyzji i po kolejnych kilku atmosferach w podbrzuszu, podejmujesz ją. Wstajesz nerwowo, mamroczesz pod nosem, czerwieniąc się, coś, np "Będę za chwilczkę" lub "Przepraszam na momencik" i wychodzisz z pokoju. Znajdujesz się w niewielkim, ale skomplikowanym przedpokoju z sześcioma parami identycznych drzwi. Nie możesz zaryzykować pierwszego spotkania z kimkolwiek z rodziny myląc jego pokój z kibelkiem i zastając go w jakiejś niezręcznej sytuacji - potrzeba ci ścisłych namiarów, których może ci dostarczyć tylko Ona. Musisz wrócić i partrząc jej w oczy poprosić o nie. Udajesz wyluzowanego: otwierasz drzwi i pytasz po prostu "Gdzie u was jest łazienka?" (Ot, idziesz umyć ręce) "Zależy, czy chodzi ci o łazienkę czy o ubikację?" Zostałeś zdemaskowany! "To drugie"- unikasz przynajmniej kompromitującego słowa 'ubikacja'. "Prosto i na końcu"- uśmiecha się, również trochę skonsternowana Ona.

Już pędzisz. Mijasz drzwi prowadzące do pokoi pięciu sióstr i kuchni, gdzie urzęduje twoja niedoszła teściowa. Dziś, do każdej z nich przyszła koleżanka. Słyszały dużo o tobie i przyszły cię obejrzeć. Wskakujesz w odpowiednie drzwi, zamykasz je i chcesz przekręcić zameczek aby się odgrodzić od reszty świata, a tu pech! Zameczek jest urwany. Nie będzie bezpiecznie, no ale trudno.

Rozglądasz się. Znajdujesz się w pomieszczeniu o powierzchni 1 metra kwadratowego - tylko ty, kibel i kilka gazet do czytania. Podnosisz klapę, która głośno uderza w spłuczkę. Cały dom cichnie, a za twoimi plecami, metr za tobą, tuż za cieniusienkimi drzwiami, 10 kobiet zaczyna nasłuchiwać. Ty jednak nie jesteś tego świadomy, póki twój nerwowy strumień nie zderzy się z taflą wody w muszli z natężeniem 60 decybeli. Jesteś ty, wielki plusk i one gdzieś za drzwiami. Próbujesz ratować sytuację, rozpaczliwie manewrując na porcelanę, ale trafiasz w klapę, powodując rozbryzg. Dwudziestosekundowa walka wydaje się trwać wieczność. Tuż przed końcem jeden niefortunny ruch i kilka kropel ląduje na nogawce twoich jasnych spodni. Cisza, może nikt nie słyszał? Spuszczasz wodę z głośnością 120 decybeli (wydaje ci się, że ktoś chichocze za drzwiami) i bardzo skrupulatnie zapinasz spodnie, na których pojawia się kilka nowych kropli, tym razem wodociągowych. Gdyby ktoś teraz cię zobaczył, byłbyś spalony na wieki. Zbierasz myśli i układasz plan działania. Na trzy cztery wybigasz i przeskakujesz do łazienki. Tam stosujesz wypróbowaną metodę kamuflażu.

Po chwili, już spokojniejszy, przemykasz do pokoju Ukochanej i stajesz w drzwiach: wilgotne włosy, twarz ociekająca wodą, pomoczony sweter i zroszone spodnie. Na jej pytające spojrzenie odpowiadasz bez cienia poddenerwowania (lepiej:) "Ale tu u was gorąco!" albo (gorzej:) "ale się ochlapałem przy kranie!" albo (najgorzej/nie zdarza się/:) "Trochę się obsikałem...eee...wodą"

Udało ci się. Teraz wszystko w waszym związku potoczy się z górki, a dziś wieczorem wypowiedzenie słów "Kocham cię, jak gwiazdy o poranku" będzie dla ciebie równie mało stresujące co spytanie się "Która godzina?" Zostałeś zahartowany. Oczywiście do następnego pierwszego razu.

* * *

Tekst ten dedykuję naturalnie przede wszystkim oczywiście wspaniałemu eseiście Qbie Kowalczykowi, który przed laty zadziwił świat bezpruderyjnością artykułu "Jak w środek celować" oraz mojemu młodszemu bratu, który, lada dzień ponownie zmieży się z Wielkim Herbatkowym Stresem.

PS

Tenże Kuba, mój brat, domalował jeszcze taką scenkę na temat.

Analogiczna sytuacja, jednak twoim wiodącym problemem jest katar. Na początek walczysz i (wydaje ci się, że) subtelnie wciągasz. Ale się leje i to coraz mocniej, bo jesteś trochę uczulony na kręcącego się po pokoju kota. Ona na chwilę wychodzi, ty w panice poszukujesz chusteczki po kieszeniach, ale oczywiście zapomniałeś. Kiedy wraca decydujesz się poprosić ją o pomoc. Smarkasz, jedna chusteczka mało, smarkasz w drugą, wycierasz nos i chowasz wszystko odruchowo do kieszeni, po czym wracasz do miłej rozmowy.

Po godzinie idziesz do łazienki. Przed lustrem z przerażeniem zauważasz duży glut trochę na lewo od nosa, któremu udało się uniknąć wytarcia, i który przez ostatnią godzinę przyozdabiał ci lico.

Kiedy zaś, późnym wieczorem, żegnasz się i zbierasz do wyjścia, nagle, tuż przed pożegnalnym pocałunkiem zakręca ci się w nosie i kichasz. Na ułamek sekundy zapada cisza, po czym z głośnym mlaśnięciem potężny efekt twojego kichnięcia uderza w szybę albo w parkiet.

Krzyś Hrynkiewicz
(*krzysiek@pulsar.com.pl)*

Jest to materiał nadesłany, jako materiał historyczny Tygla.

Informacje dla autorów

Łamy **'The VALETZ Magazine'** otwarte są dla wszystkich, którzy tworzą coś samodzielnie bądź wspólnie z innymi i chcą się tym podzielić z całą resztą, czyli tymi, którzy tylko konsumują. Koncentrujemy się na komiksie i słowie pisanym, lecz nie znaczy to, że nie przewidujemy miejsca dla fotografii, muzyki czy dźwięków innych, słowa pisanego na wspak, czy też innych form wyrazu, które w tym momencie nie przychodzą mi do głowy. Nie przewidujemy miejsca jedynie dla treści rasistowskich, polityki i sportu oraz wszystkiego, co kłóci się z naszym poczuciem przyzwoitości.

Jak zatem przesłać swoje materiały do redakcji?

Przede wszystkim zalecamy kontakt pocztowy - *magazine@valetz.art.pl* . Staramy się w miarę naszych możliwości odpowiadać na wszystkie listy. Można również wrzucać je w formie binarnej na nasz serwer ftp - *ftp://ftp.valetz.art.pl/pub/magazine/incoming/* Istnieje też możliwość przesyłania materiałów pocztą tradycyjną na adres: *Wołomin 05-200, skrytka pocztowa 155*.

Uwagi ogólne

Publikujemy materiały napisane wyłącznie w języku polskim.

Uwagi odnośnie tekstów

rys: Seweryn Sapiński

Najchętniej przyjmujemy prace w formatach *Word 6.0 (.doc, .rtf)*, ale w skrajnych przypadkach także innych. Jeśli autor życzy sobie, aby jego materiały zostały zaprezentowane w jakiś specyficzny sposób (formatowanie, oprawa graficzna), to należy to zaznaczyć. Rozmiar prac zasadniczo nie gra roli - dłuższe będą ukazywać się w częściach, jeśli pozwalać będzie na to konstrukcja tekstu. Mile widziana będzie wstępna korekta tekstu dokonywana przez samych autorów.

Uwagi odnośnie komiksu i grafiki

W postaci binarnej akceptujemy *wszystkie formaty graficzne obsługiwane przez Adobe Photoshopa 4.0*. W ostatecznej wersji grafika będzie skalowana do szerokości nie większej niż 500 pixeli, więc odradzamy przysyłanie prac zbyt dużych. W postaci tradycyjnej, czyli papierowej format może być dowolny, w granicach rozsądku oczywiście.

I to tyle. Jeśli masz jakieś pytania, wątpliwości, lęki, problemy natury egzystencjalnej czy innej, pisz do nas na adres redakcji (*magazine@valetz.art.pl*) lub bezpośrednio:

Arti : *arti@valetz.art.pl*

flEa : *flea@valetz.art.pl*